P POLSKA
METROPOLIA WARSZAWSKA

19 lat

Nr 57 (2568)
Cena **7,00 zł**
(w tym 8% VAT)
www.i.pl
Nr ISSN 1898-3081
Nr indeksu 349-682

Piątek–niedziela, 17–19.07.2026

i.pl

MAGAZYN

Młoda Polska odpływa do miast

– Str. 10–13

KRZYSZTOF ZANUSSI O SOBIE W SZCZERYM WYWIADZIE

– Str. 16–18

DZIEWCZYNA, KTÓRĄ CHCIELI SPRZEDAĆ RODZICE

– Str. 22–23

Krzyżówka / Sport / Z życia Warszawy

TELEMAGAZYN

- „Splątane losy” to nowy turecki serial
- Keanu Reeves, mesjasz popkultury

BT

29
9 771898 308059

REKLAMA 0011542523

eprasa.pl facf02ca37

Na okładce

BT

Są w Polsce regiony, z których wyjechała prawie połowa młodych ludzi. Chyba nikt nie ma żadnych złudzeń, jaka przyszłość czeka te obszary - mówi demograf prof. Piotr Szukalski

s.8–9

Partyjni liderzy dyscyplinują i motywują swoje drużyny przed przyszłorocznymi wyborami

s.16–18

– Wieczorem wydaje mi się, że znajduję sens. Rano trzeba wszystko zaczynać od nowa – mówi reżyser Krzysztof Zanussi

s.22

Sonita Alizada: Miałam 10 lat, kiedy zrozumiałam, że rozmowy o moim małżeństwie to nie zabawa. Afgańska raperka i aktywistka, autorka książki „Byłam na sprzedaż", mówi o swoich doświadczeniach

s.26

W oczekiwaniu na premierę wysokobudżetowej ekranizacji „Lalki" Bolesława Prusa

s.27

Dziś trudno w to uwierzyć, ale latem 1961 roku w Polsce wybuchła gagarinomania

SPORT: PRZED NAMI OSTATNI MUNDIALOWY WEEKEND STR. 31

Krzysztof Zanussi
Reżyser, scenarzysta, producent i aktor filmowy, którego twórczość związana jest głównie z nurtem kina moralnego niepokoju.

Marcin Dorociński
Wciela się w rolę Stanisława Wokulskiego w nowej ekranizacji „Lalki". Premiera filmu kinowego zaplanowana jest na 30 września.

FOT. ALEKSY WITWICKI, MAT. PRAS. KINO ŚWIAT

POLECAMY

PONIEDZIAŁEK: Pękniecia w PiS nie da się pozszywać

POLSKA METROPOLIA WARSZAWSKA

Redaktor naczelny
Arlena Sokalska
Z-ca redaktora naczelnego
Agaton Koziński
Redaktorzy
Anita Czupryn
Dorota Kowalska
Mariusz Grabowski

www.i.pl

Polska Press
Makroregion Wschód
Redakcja
ul. Domaniewska 45
02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Prezes Makroregionu
Aureliusz Mikos
Dyrektor reklamy
Witold Trzciński
Biuro reklamy oddziału
tel. 698 635 707
Druk
Drukarnia ZPR Media S.A.,
04-190 Warszawa, ul. Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA

Wydawca Polska Press Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10
Prezes Zarządu Polska Press Grupy
Zenon Nowak
Redaktor naczelny Polska Press Grupy
Marek Twaróg
Projekt graficzny, dyrektor artystyczny PPG
Tomasz Bocheński
Dyrektor kolportażu PPG Tomasz Osoliński
Biuro Konsumenta PPG
biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.i.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

17.07.2026. Dzień dobry

Kto sieje wiatr, zbiera burzę

Niedawno dowiedziałam się o całkowicie opuszczonej wsi w woj. zachodniopomorskim. Wybieram się niebawem na zwiedzanie Brzeźnicy, bo ponoć robi niesamowite wrażenie. Stoi tam kościół z XVIII wieku, dziś z powybijanymi oknami i stare, opuszczone domostwa. Kiedyś funkcjonował tam PGR, była nawet szkoła. Ale na początku lat 90. PGR zlikwidowano, a ludzie powoli opuszczali wieś, w której nie było pracy, a drogi pozostawiały wiele do życzenia.

I tak mamy wieś widmo, którą warto jedynie zwiedzić, bo kiedyś domy i kościół się zawalą, a resztki gruzów zasłoni roślinność.

Takich wsi zapewne w Polsce jest więcej i będzie ich przybywać. Jak mówi prof. Piotr Szukalski, demograf z Uniwersytetu Łódzkiego, już dziś są w Polsce regiony, z których wyjechała prawie połowa młodych ludzi. Ciągną do miast, głównie tych z tzw. pierwszej piątki: Warszawy, Gdańska, Wrocławia, Poznania i Krakowa.

Co ciekawe, robią to głównie młode kobiety, młodzi mężczyźni częściej zostają u siebie. A to oznacza, że całkiem spora część kobiet w dużych miastach nigdy nie znajdzie partnera, podobnie jak będzie to udziałem mężczyzn, którzy nie zdecydowali się na opuszczenie rodzinnych stron.

Brzmi to jak przepis na katastrofę demograficzną, prawda?

„Jeśli obecny poziom dzietności utrzyma się kilkanaście lat, to za lat dwadzieścia zaczniemy do takiej katastrofalnej sytuacji dochodzić, bo wtedy drastycznie pogorszy się relacja pomiędzy liczbą wychodzących z rynku pracy i wchodzących na ten rynek" – mówi prof. Szukalski . Polecam lekturę tej rozmowy (str. 10-13).

Ale profesor zwraca też uwagę na fakt, że Polska stała się niezwykle atrakcyjna dla przybyszów z innych krajów. Nie tylko tych nielegalnych, nie tylko tych uciekających przed wojną, ale i uchodźców ekonomicznych. „Nie zdajemy sobie sprawy, że tylko dwanaście, trzynaście procent ludności świata żyje w krajach zapewniających wyższy poziom produktu krajowego brutto w przeliczeniu na mieszkańca niż w Polsce" – zwraca uwagę profesor. A „Washington Post" donosi, że Donald Trump chciałby, by Polska miała stałe miejsce w G20 (na razie mamy być tylko gościem na szczycie w Miami, który odbędzie się pod koniec roku). I to jest miara sukcesu wszystkich nas.

Ale to też oznacza, że na świecie jest masa ludzi, którzy chcieliby mieszkać w Polsce. I nie są to wcale przybysze z Afryki czy Azji, ale Brytyjczycy, Hiszpanie czy Irlandczycy. Mieszka ich w Polsce coraz więcej, ale to wobec naszych wschodnich sąsiadów politycy rozpętali falę nienawiści.

Niedawny napad na kilkunastoletnią dziewczynkę w autobusie w Bielsku-Białej wywołał u mnie – i nie tylko u mnie – przerażenie. A jeszcze większy lęk ogarniał mnie, gdy czytałam komentarze w sieci, obwiniające ową dziewczynkę o różne przewinienia, które miały wywołać agresję owego mężczyzny. Niezależnie od wszystkiego – odpowiednią reakcją dorosłego na złe zachowanie młodzieży jest zwrócenie uwagi, a nie wykrzykiwanie ksenofobicznych haseł i słów powszechnie uznawanych za obelżywe.

Ale to piekło rozpętali politycy i oni są odpowiedzialni za tę falę antyukraińskiej nienawiści. Pisze o tym Dorota Kowalska w tekście „Chorzy z nienawiści. Czy przyjdzie opamiętanie?". Odpowiadając na pytanie z tytułu – raczej w to wątpię. Myślę, że czeka nas jeszcze dużo podobnych zdarzeń.

Mam jednak nadzieję na biblijne: kto sieje wiatr, zbiera burzę. Oby w wyborach.

ARLENA SOKALSKA
red. nacz. „Polski"

ZESKANUJ KOD

- Wiadomości z kraju i ze świata znajdziesz na **i.pl**
- Jesteśmy obecni w 20 największych polskich miastach
- Treści regionalne łączymy z publicystyką, a także materiałami wideo

AUTOPROMOCJA

Prenumeruj „Polską Metropolię Warszawską"

tel. 12 312 53 88
bok.prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

eprasa.pl facf02ca37

„Z czego jutro ...?" TO NIE JEST PAŃSTWO DLA MŁODYCH LUDZI, CZYLI UPADEK MITÓW ZAŁOŻYCIELSKICH „SZPITALA POLONIA"

Mity założycielskie III Rzeczypospolitej okazały się blaknącą z wyborów na wybory weryfikowalną przez życiowe doświadczenie bolesną fikcją. W wywiadzie „Oszukane pokolenie trzydziesto- i czterdziestolatków. «Wytresowano ich w mitach»" w „Newsweeku" z 5 sierpnia 2025 prof. Tomasz Sobierajski zauważył, że „to pokolenie niespełnionych obietnic. Nie tych, które każdy sam przed sobą stawia, ale tych w skali makro. Wychowali się na „końcu historii", na Fukuyamie, na obietnicy, że świat będzie wspaniały, piękny, nie będzie wojen, a historia popłynie w jedną – szczęśliwszą – stronę. W Polsce dochodziła do tego obietnica, że po trudnych latach 90. będzie już tylko lepiej. Przyszłość będzie bardziej wolna, sprawiedliwsza". Zamiast tego oszukane pokolenia funkcjonują od progu dojrzewania w nieprzerwanym paśmie kryzysów bezrobocia, gospodarczych, klimatycznych, zdrowotnych, wojennych oraz w państwie, które coraz otwarcie działa przeciwko nim i to nie tylko jak w przypadku zacierających się w pamięci ACTA2.

Jednym epicentrów objawionych i cały czas rozrastających się dysfunkcji państwa stał się Szpital Południowy, który z pojedynczej afery jakich jest w Polsce bez liku w ostatnich dekadach zmienił się we wzorcowy wręcz symbol systemu nieprzejmującego się losem obywatela i przywilejów władzy. Jawnie patologiczne w krytycznych obszarach dla życia obywateli państwo pogrąża się coraz wyraźniej pod wpływem rosnących w siły kolejnych grup interesów wewnątrz jego aparatu i poza nim, które otwarcie działają nie tylko przeciwko racji tegoż państwa, ale przede wszystkim prowadzą do drenażu finansowego obywateli i przyczyniają się do obniżania ich standardu życia.

W Polsce są jedne z najwyższych cen prądu w państwach Unii, w których obowiązują te same reguły tzw. zielonego ładu. Wraz z informacjami jak pieniądze podatników zwane publicznymi wydawane są na kolejne instalacje OZE dowiadują się o nadprodukcji energii, za której nieodebranie również muszą zapłaci m.in. w rosnących podatkach takich jak opłata mocowa, opłata OZE i kogeneracyjna, opłaty sieciowe. Tymczasem od 1 lipca 2026 w Nowej Południowej Walii, Australii Południowej i południowo-wschodnim Queensland sprzedawcy energii mają obowiązek oferować gospodarstwom domowym co najmniej trzy godziny nieodpłatnego prądu dziennie w ramach programu Solar Sharer Offer, bo w środku dnia sieć bywa dosłownie zalewana nadwyżką słonecznej energii. Rząd Australii nadmiar energii oddaje obywatelom. W państwie polskim stworzono system, w którym podatnik płacić więcej za to, że energii jest za dużo. Komu ma zatem służyć system? Oligopolom czy obywatelom? Rosnąca cena energii i administracyjnie windowana przez kolejne rządy cena pracy i tym samym podatków na nią nałożonych sprawia, że w Polsce pojawił się narastający „trend" zamykania fabryk oraz centrów usług przede wszystkich tylko z tych dwóch powodów. Kolejne tysiące obywateli dosłownie z dnia na dzień tracą pracę. Ponadto według portalu Wyborcza.biz z 11 lipca po likwidacji kolejnego centrum usług wspólnych w Krakowie „Biurowce wchodzą w strefę pustostanów. «Kiedyś tu było pełno ludzi, dziś częściej spotkasz zające»".

W roku 1982 Lindsay Anderson w „Szpitalu Brytania" pokazywał państwo jeszcze jako instytucję, z którą można się bezlitośnie rozprawić satyrą - skorumpowaną i dysfunkcyjną, ale wciąż podmiotową, zdolną choćby do ironicznego gestu wobec obywatela. Czy dziś ironicznym gestem „Szpitalu Polonia" nie jest wyznanie „cóż szkodzi obiecać?" Ćwierć wieku później bracia Coen w „To nie jest kraj dla starych ludzi" portretowali już państwo, które przestało nadążać za przemocą, jakiej samo nie potrafi nazwać ani powstrzymać, a stary szeryf nie reprezentuje już porządku, tylko jego wspomnienie. W roku 2024 Alex Garland w „Civil War" nie pokazuje nawet przyczyny rozpadu państwowości, bowiem instytucje po prostu przestają istnieć, a obywatel zostaje sam wobec anonimowej przemocy. Od groteskowej satyry przez bezradność po całkowitą nieobecność państwo z naszego kręgu cywilizacyjnego jako instytucja dla obywatela staje się coraz mniej realne, aż w końcu już dziś na jego oczach zaczyna obumierać i zanika, czego codziennych dowodów dostarczają wiodące państwa europejskie.

Od dekad kierunek zmian w „Szpitalu Polonia", który odbiera kolejnym pokoleniom nadzieję na nieodległą życiowo lepszą przyszłość, potwierdza obserwację Bertranda de Jouvenela, że „władza zmienia swój wygląd, ale nie swoją naturę". Mimo formalnej zmiany rządzących coraz dotkliwiej i kosztowniej doświadczamy antyobywatelskich mechanizmów, z których coraz gwałtowniej spadają maski do niedawna skrywające mutujące się patologie w szpitalach, urzędach czy sądach. Czy w niepozostawiającej wątpliwości co do natury obecnego systemu oszukane pokolenia znajdą siłę, aby go zmienić?

ANDRZEJ SADOWSKI
założyciel i prezydent Centrum im. Adama Smitha - pierwszego w Polsce think tanku, działającego od 16 września 1989 r.

MATERIAŁ INFORMACYJNY ORLEN 0011552085

Pierwszy prąd z polskiego Bałtyku. Baltic Power zasila krajową sieć

To historyczny moment dla polskiej energetyki. Po raz pierwszy prąd wyprodukowany przez morską farmę wiatrową na polskim Bałtyku popłynął do krajowej sieci elektroenergetycznej. Baltic Power osiągnął etap First Power i rozpoczął kluczowe testy, których finałem będzie uruchomienie całej farmy wiatrowej.

Bałtycka elektrownia nabiera mocy

Osiągnięcie etapu First Power oznacza uruchomienie produkcji energii przez pierwsze turbiny i rozpoczęcie stopniowego oddawania farmy do eksploatacji. Kolejne turbiny będą sukcesywnie przechodzić rozruch i testy, zwiększając moc farmy, aż do osiągnięcia docelowej mocy 1,2 GW.

Inwestycja szybko zbliża się do finału. Do tej pory zainstalowano 54 z 76 turbin wiatrowych. Na dnie morza ułożono wszystkie kable (aż 350 kilometrów!), kompletna jest również lądowa infrastruktura w gminie Choczewo i baza serwisowa w Łebie. Cała kampania instalacyjna projektu przekroczyła już ponad 80 procent. Równolegle z montażem ostatnich turbin, trwają testy i inspekcje gotowych komponentów.

Instalacja morskich turbin wiatrowych należy do najbardziej wymagających etapów realizacji farmy wiatrowej na morzu. Wymaga precyzyjnego planowania, koordynacji pracy wyspecjalizowanej floty kilkunastu statków i przestrzegania wyśrubowanych standardów bezpieczeństwa. A wszystko to w zmiennych warunkach pogodowych polskiej części Bałtyku.

W morską kampanię instalacyjną zaangażowano już 103 statki i ponad 5300 pracowników projektu, kontraktorów i załóg statków. Prace są realizowane na obszarze 130 kilometrów kwadratowych, powierzchni porównywalnej do Gdyni czy Rzeszowa.

Logistyka i technologia: Jak działa Baltic Power?

Farma zlokalizowana jest 23 km od brzegu, na wysokości Łeby i Choczewa. Pracować będą na niej jedne z najnowocześniejszych i największych na świecie turbin wiatrowych o mocy 15 MW każda. Turbiny Vestas to obecnie największy model produkowany w europejskich fabrykach. Każda z nich wraz z fundamentem osiąga wysokość ponad 250 metrów, a łopaty o długości 115,5 metra zataczają powierzchnię większą niż sześć boisk piłkarskich.

Wiele kluczowych komponentów farmy powstawało w Polsce, m.in. część gondol turbin (Szczecin), morskie stacje elektroenergetyczne (Trójmiasto), kable (Bydgoszcz), elementy fundamentów (Żary).

Aby cały system działał bez zarzutu przez najbliższe dekady, w Łebie uruchomiono już bazę serwisową oraz Morskie Centrum Koordynacyjne. To stamtąd przez około 30 lat prowadzona będzie obsługa i utrzymanie farmy. Dziś obiekt w Łebie wspiera gigantyczną kampanię instalacyjną na morzu.

Baltic Power w liczbach:
- Moc docelowa: 1,2 GW
- Liczba turbin: 76 (każda o mocy 15 MW)
- Roczna produkcja energii: ok. 4 TWh (ok. 3 proc. obecnego krajowego zapotrzebowania na energię elektryczną)
- Zasięg zasilania: ponad 1,5 miliona gospodarstw domowych

Morskie farmy wiatrowe należą do najszybciej rozwijających się segmentów energetyki w Europie. Bałtyk oferuje jedne z najlepszych warunków dla takich inwestycji – wiatr jest tu silniejszy i bardziej stabilny niż na lądzie, dzięki czemu turbiny mogą produkować energię przez większą część roku.

Co czeka inwestycję w najbliższych miesiącach?

Mimo że pierwsza energia elektryczna z morza już zasila krajową sieć, instalacja ostatnich turbin nie oznacza końca budowy. Farma Baltic Power musi przejść niezbędne inspekcje, uzyskać pozwolenia oraz przejść proces certyfikacji całej infrastruktury przez niezależnych audytorów. Będą to pierwsze tego typu postępowania w Polsce, co jest również wyzwaniem i testem dla organów administracyjnych. Zwieńczeniem całego wielotygodniowego procesu będzie uzyskanie koncesji na wytwarzanie energii, którą wyda Urząd Regulacji Energetyki. Właśnie wtedy Baltic Power rozpocznie okres ok. 30-letniej eksploatacji i dostarczania energii z morza do naszych gospodarstw domowych.

eprasa.pl facf02ca37

CO ZA TYDZIEŃ

Przygotował **AGATON KOZIŃSKI**
zastępca redaktora naczelnego
„Polski Metropolii Warszawskiej”

13.07 poniedziałek

Europejska Agencja Kosmiczna (ESA) ogłosiła, że w Warszawie powstanie jej kolejne centrum technologiczne.

Obecnie ESA posiada placówki w Niemczech (dwie), Holandii, Włoszech, Hiszpanii, Belgii oraz Wielkiej Brytanii. Ośrodek ESA w Warszawie skupi się na bezpieczeństwie oraz rozwoju technologii o podwójnym zastosowaniu. Będzie też rozwijać zdolność UE do przewidywania, reagowania i odbudowy w sytuacjach kryzysowych. W centrum powstanie m.in. stanowisko do symulacji misji kosmicznych czy monitoring usług satelitarnych.

15.07 środa

Messi idzie w ślady Maradony. W 1986 r. Diego Maradona poprowadził Argentynę do mistrzostwa świata, pokonując m.in. po drodze Anglię (2:1). Cztery lata później znów rządził na boiskach, dochodząc ponownie do finału mistrzostw – choć w nich poniósł porażkę z Niemcami.

Teraz Messi powtórzył jego osiągnięcie. Cztery lata temu poprowadził Argentynę do tytułu mistrzowskiego. Teraz jego zespół wyeliminował w półfinale Anglię (2:1). W wielkim finale zmierzy się z będącą w rewelacyjnej formie Hiszpanią. Czy Messi zdoła poprawić wyczyn Maradony i obronić tytuł? Czy stanie się najwybitniejszym piłkarzem argentyńskim? Przekonamy się o tym w najbliższą niedzielę.

16.07 czwartek

Szef MSZ Radosław Sikorski spotkał się w USA z gubernatorem Kalifornii Gavinem Newsomem. Spotkanie istotne nie tylko dlatego, że Kalifornia to czwarta gospodarka świata. Newsom jest też postrzegany jako najbardziej prawdopodobny kandydat Demokratów w najbliższych wyborach prezydenckich w USA.

15.07 środa

Maciej Świrski, były szef KRRiT, wyszedł na wolność po zatrzymaniu przez CBA.

Postawiono mu zarzuty niegospodarności w związku z jego pracą w Polskiej Fundacji Narodowej. Zarzuty usłyszał także inny członek zarządu PFN. Świrski został objęty zakazem opuszczania kraju. Wszystko ma związek z kampanią PFN „Sprawiedliwe sądy” z 2017 r.

13.07 poniedziałek

Sąd Okręgowy w Warszawie odmówił wydania Europejskiego Nakazu Aresztowania (ENA) wobec Zbigniewa Ziobry. Wnioskowała o to prokuratura.

Sąd podkreślił, że do wydania takiego nakazu konieczne jest przebywanie osoby ściganej na terytorium krajów Unii Europejskiej – a były minister sprawiedliwości przebywa obecnie w USA. Ziobro jest poszukiwany w związku z zarzutami, jakie mu postawiono w sprawie niegospodarności w Funduszu Sprawiedliwości.

15.07 środa

Tajne spotkanie parlamentarzystów Koalicji Obywatelskiej z premierem i szefem ich partii Donaldem Tuskiem. Trwało niemal trzy godziny w jednym z hoteli w centrum Warszawy. Późniejsze komentarze były lakoniczne. Parlamentarzyści KO podkreślali tylko, że rozmowa z „kierownikiem” służyła przede wszystkim mobilizacji wszystkich w związku z nadchodzącym rokiem wyborczym. Sam Tusk nie komentował spotkania – wyszedł z niego tylnymi drzwiami bez obecności mediów.

15.07 środa

Tajne spotkanie na Nowogrodzkiej kierownictwa PiS z Jarosławem Kaczyńskim na czele – a po nim nad PiS zawisło widmo rozpadu. Wszystko dlatego, że Nowogrodzka zarządała rozwiązania wszystkim stowarzyszeń działających wewnątrz partii. Mateusz Morawiecki, lider stowarzyszenia „Rozwój Plus”, odmówił. Ma czas do 23 lipca. Według zapowiedzi władz partii, jeśli do tego dnia tego nie zrobi, członkowie stowarzyszenia przestaną być członkami PiS.

16.07 czwartek

Polskie myśliwce przechwyciły dwa rosyjskie samoloty Su-30 nad Morzem Bałtyckim, a następnie zostały skierowane do kolejnej misji związanej z rosyjskim samolotem rozpoznawczym Ił-20.

Oba te zdarzenia wydarzyły się w ciągu 24 godzin. Rosjanie mieli obserwować manewry z wykorzystaniem polskich systemów obrony powietrznej. „W obu przypadkach nie stwierdzono naruszenia polskiej przestrzeni powietrznej” – informował Władysław Kosiniak-Kamysz, wicepremier, szef MON.

PAP/EPA, PAP/RADEK PIETRUSZKA, ADAM JANKOWSKI, MSZ

eprasa.pl facf02ca37

WYMIAR SPRAWIEDLIWOŚCI

Najwyższa kara dla Łukasza Żaka

Chwilę po ogłoszeniu wyroku sędzia spojrzał na oskarżonego i powiedział: „Pracował pan na ten wyrok przez lata". Na sali zapanowała cisza. Wyrok nie jest prawomocny. Żak ma już plany, żeby się od niego odwołać

Greta Sulik

Proces trwał wiele miesięcy i od początku budził ogromne zainteresowanie. W czwartek sąd zakończył go wyrokiem, który dla Łukasza Żaka oznacza 20 lat pozbawienia wolności. To najwyższa kara, jaką mógł otrzymać.

Sąd orzekł również, że skazany będzie mógł ubiegać się o warunkowe przedterminowe zwolnienie dopiero po odbyciu 15 lat kary. Dodatkowo otrzymał dożywotni zakaz prowadzenia wszelkich pojazdów mechanicznych oraz został zobowiązany do wpłaty 10 tysięcy złotych na Fundusz Pomocy Pokrzywdzonym oraz Pomocy Postpenitencjarnej.

Do tragedii doszło w nocy z 14 na 15 września 2024 roku na Trasie Łazienkowskiej. Jak ustalił sąd, Żak prowadził auto będąc pod wpływem alkoholu. Mógł mieć nawet 1,6 promila alkoholu we krwi. Jadąc z prędkością przekraczającą 200 km/h z ogromną siłą uderzył w prawidłowo jadącego Forda Focusa.

FOT. PAP/LESZEK SZYMAŃSKI

Łukasz Żak, sprawca wypadku na Trasie Łazienkowskiej otrzymał wyrok 20 lat więzienia

W wypadku zginął Rafał P. Jego żona i dzieci odniosły bardzo ciężkie obrażenia. Po zderzeniu Żak uciekł z miejsca wypadku. Według ustaleń śledczych później pomagały mu inne osoby, które miały utrudniać jego zatrzymanie i postępowanie karne. Oprócz kary więzienia sąd orzekł także wysokie zadośćuczynienia.

Żona zmarłego Rafała P. oraz każde z dwojga dzieci otrzymają po 300 tys. z. Kolejnej pokrzywdzonej sąd przyznał 150 tys. zł.

Najbardziej poruszającym momentem rozprawy było jednak ustne uzasadnienie wyroku.

Sędzia nie tylko szczegółowo odniósł się do zgromadzonego materiału dowodowego, ale również zwrócił się bezpośrednio do Łukasza Żaka.

- Panie Żak, na ten wyrok pracował pan przez lata - powiedział.

Podkreślił, że wymierzona kara nie jest odpowiedzią na społeczne emocje ani medialny rozgłos.

- To nie jest zapotrzebowanie medialne. Ja bazowałem tylko na faktach i na tym, co miałem w aktach - zaznaczył. W kolejnych minutach uzasadnienia sędzia mówił o okolicznościach tragedii. - Myślę, co trzeba mieć w głowie, żeby rozpędzić Arteona do prędkości ponad 200 kilometrów na godzinę. To jest mały czołg. Nie ma szans na reakcję. To groziło katastrofą. I tak się skończyło - powiedział.

Dodał również, że podczas całego procesu nie dostrzegł u oskarżonego skruchy. - Uważam, że zero refleksji. Nie znalazłem jej. Naprawdę nie znalazłem - mówił.

Na zakończenie wyjaśnił, dlaczego zdecydował się na tak surową karę. - Nie chcę, żeby były kolejne Julie, Jakuby, Pauliny na drodze. Uważam, że tylko ta kara zabezpieczy społeczeństwo przed takimi kierowcami jak pan - skwitował sędzia.

Sąd nie dopatrzył się wobec Łukasza Żaka żadnych okoliczności łagodzących. W uzasadnieniu wskazano, że o wysokości kary zdecydowały przede wszystkim ogromna społeczna szkodliwość czynu, wcześniejsza karalność oskarżonego, jego zachowanie przed tragedią oraz po wypadku.

Wyrok nie jest prawomocny. Po zakończeniu rozprawy obrońca Łukasza Żaka zapowiedziała złożenie apelacji. W jej ocenie jej klient został „wytypowany" spośród wszystkich uczestników zdarzenia jako kozioł ofiarny, choć, jak argumentowała, odpowiedzialność pozostałych osób była porównywalna.

Obrona uważa również, że sąd zbyt surowo ocenił rolę jej klienta w całym zdarzeniu. Ostatecznie o jego losie zdecyduje sąd drugiej instancji.

MATERIAŁ INFORMACYJNY WARTY 0311527068

Adekwatne sumy ubezpieczenia – dlaczego to dziś kluczowy element bezpieczeństwa firmy?

Prowadzenie działalności gospodarczej w ostatnich latach oznacza funkcjonowanie w warunkach dużej zmienności. Wzrost kosztów energii, materiałów i pracy, presja konkurencyjna, a także niepewność łańcuchów dostaw sprawiają, że przedsiębiorcy coraz częściej koncentrują się nie tylko na rozwoju, ale również na utrzymaniu stabilności operacyjnej.

W takim otoczeniu ubezpieczenia przestają być formalnością, a stają się elementem strategii zarządzania ryzykiem. Dziś najważniejszym pytaniem nie jest „czy firma jest ubezpieczona", ale „czy jej ochrona realnie odpowiada dzisiejszym kosztom i ryzykom".

Luka ubezpieczeniowa – niedopasowanie, które rośnie wraz z inflacją

Jednym z najczęściej niedocenianych problemów okazuje się niedopasowanie sum ubezpieczenia do aktualnych warunków rynkowych. Wiele polis zawieranych było w okresie niższej inflacji i stabilniejszych cen materiałów czy usług. Tymczasem w ostatnich latach koszty odtworzenia majątku firmowego znacząco wzrosły.
W efekcie powstaje luka ubezpieczeniowa – sytuacja, w której wypłacone odszkodowanie nie pozwala na pełne pokrycie strat. Jak wskazują analizy rynku, m.in. Polskiej Izby Ubezpieczeń, problem ten dotyczy szeroko rozumianego sektora MŚP i obejmuje zarówno majątek trwały, jak i odpowiedzialność cywilną.

Co luka ubezpieczeniowa oznacza w praktyce?

Dla przedsiębiorcy konsekwencje są bardzo konkretne. Jeśli suma ubezpieczenia nie odpowiada aktualnym kosztom, różnica między odszkodowaniem a rzeczywistą wartością szkody musi zostać pokryta z własnych środków firmy. A w konsekwencji może to oznaczać:

- konieczność posiłkowania się kredytem,
- ograniczenie inwestycji rozwojowych,
- utratę płynności finansowej.

Jak firmy mogą ograniczać ryzyko niedoubezpieczenia?

Kwestią kluczową jest regularna aktualizacja sum ubezpieczenia oraz sum gwarancyjnych. Nie powinno to być jednorazowe działanie przy zawarciu umowy, ale element cyklicznego zarządzania ryzykiem. Coraz większe znaczenie mają także działania rewaloryzacyjne przy odnowieniu polis, które pozwalają dostosować poziom ochrony do aktualnych kosztów rynkowych i inflacji. Dzięki temu firma unika sytuacji, w której wieloletnia polisa przestaje odpowiadać rzeczywistej skali ryzyka.

Jak odpowiada na to rynek? Podejście Warty dla MŚP

W takich warunkach niezwykle istotne staje się nie tylko samo posiadanie polisy, ale jej dopasowanie do realnej skali działalności firmy. Warta w rozwiązaniach dla małych i średnich przedsiębiorstw podkreśla znaczenie elastyczności ochrony oraz jej regularnej aktualizacji. W ramach rozwiązań dla MŚP, takich jak produkt Warta Ekstrabiznes Plus, przedsiębiorcy mogą zabezpieczać m.in.:

- majątek firmy (budynki, wyposażenie, maszyny) w oparciu o aktualną wartość odtworzeniową,
- odpowiedzialność cywilną działalności (OC) z dopasowaną sumą gwarancyjną,
- ryzyka wpływające na ciągłość działania, takie jak przerwa w działalności czy utrata zysku.

Jednocześnie, już na etapie zawierania umowy z nowymi klientami, w kontekście zmieniającej się sytuacji gospodarczej (inflacja, wzrost kosztów materiałów i usług), możliwe jest zaproponowanie podwyższenia sumy gwarancyjnej w ramach dostępnych wariantów oraz rozszerzenia ochrony o dodatkowe ryzyka wspierające ciągłość działalności i zapewniające wypłatę świadczeń w przypadku szkód majątkowych objętych zakresem ubezpieczenia.

OC działalności i ryzyka odpowiedzialności

Drugim ważnym obszarem jest odpowiedzialność cywilna. W ramach ubezpieczeń dla firm Warta umożliwia zabezpieczenie szkód wyrządzonych osobom trzecim w związku z prowadzeniem działalności gospodarczej. W warunkach rosnącej wartości kontraktów i roszczeń, odpowiednie sumy gwarancyjne stają się równie istotne jak ochrona majątku. Niedoszacowanie tego obszaru może prowadzić do sytuacji, w której jedno zdarzenie – np. błąd wykonawczy czy szkoda wyrządzona kontrahentowi – generuje koszty przekraczające możliwości finansowe firmy. Należy bowiem pamiętać, że niska suma gwarancyjna jest szczególnie problematyczna w przypadku wysokich roszczeń – spowoduje, że klient będzie musiał pokryć koszty z własnych środków finansowych.

Aktualizacja sum ubezpieczenia to konieczność

W zmiennym otoczeniu gospodarczym niezwykle istotne znaczenie ma regularna weryfikacja sum ubezpieczenia. Nie powinna ona być traktowana jako jednorazowa decyzja, ale jako stały element zarządzania ryzykiem. Każda inwestycja, rozwój firmy czy zmiana kosztów operacyjnych wpływa na poziom ekspozycji na ryzyko. Dlatego przy odnawianiu polis coraz częściej stosuje się działania rewaloryzacyjne, które pozwalają dostosować ochronę do aktualnych realiów rynkowych i uniknąć efektu niedoubezpieczenia.

Ubezpieczenie jako element odporności firmy

Z perspektywy przedsiębiorcy kluczowe jest dziś nie tylko posiadanie ochrony, ale jej realna skuteczność. Adekwatna suma ubezpieczenia decyduje o tym, czy firma będzie w stanie odtworzyć majątek i wrócić do działania bez utraty stabilności finansowej. W tym sensie ubezpieczenia – odpowiednio dopasowane, elastyczne i regularnie aktualizowane – stają się jednym z fundamentów odporności biznesu w zmiennym otoczeniu gospodarczym.

eprasa.pl facf02ca37

ANTYUKRAIŃSKIE NASTROJE

Chorzy z nienawiści. Czy przyjdzie opamiętanie?

Coraz więcej ataków na Ukraińców: tych fizycznych i tych werbalnych. Politycy, także ci z opozycji, oficjalnie te ataki potępiają. Ale to Konfederacja razem z formacją Grzegorza Brauna ścigają się ostatnio z Prawem i Sprawiedliwością na antyukraińskość. Tymczasem liczba przestępstw z nienawiści wzrosła w ostatnich latach o ponad 30 procent. To efekt tego wyścigu?

Dorota Kowalska

Sytuacja staje się niebezpieczna. I spora w tym wina polityków, bo to oni podkręcają w naszym kraju nastroje antymigracyjne, zwłaszcza antyukraińskie.

Wydarzenia z ostatnich dni: w niedzielę w Bielsku-Białej 54-letni pracownik lokalnych zakładów autobusowych, od dłuższego czasu przebywający na zwolnieniu lekarskim, znieważył 11-latki z Ukrainy podróżujące autobusem komunikacji miejskiej. W ubiegłym tygodniu w Poznaniu dwóch mężczyzn domagało się wpuszczenia do biura ukraińskiej firmy pod pozorem sprawdzenia, czy prowadząca ją kobieta „wspiera Stepana Banderę". Nagranie z zajścia momentalnie rozeszło się w internecie. Owi chojracy to „aktywiści wspierający Grzegorza Brauna i Korwin-Mikkego", zostali już zatrzymani przez policję.

W Łodzi mężczyzna pobił przechodnia, myśląc, że pochodzi z Ukrainy.

Natalia Waloch, dziennikarka „Wysokich Obcasów" opisała na Facebooku taką oto sytuację: robiła zakupy w jednym z warszawskich sklepów. Nagle pojawił się w nim mężczyzna, który z ekspresu do kawy lał sobie samą wodę. Sprzedawczyni zwróciła mu uwagę, że nie może tak robić. Doszło do ostrej wymiany zdań.

„Gość zareagował agresywnie, zaczął pohukiwać na wszystkich dookoła, więc bardzo młody Ukrainiec, również pracownik Żabki, poprosił go, by opuścił sklep. Gość się nadął i zaczął oskarżać chłopaka, że to niby ten jest agresywny" – opisuje dziennikarka.

Widząc, w jakim kierunku zmierza wymiana zdań, dziennikarka wyciągnęła telefon.

„Zrobiło się ostro, więc wyjęłam telefon i zaczęłam filmować, żeby w razie czego był dowód, kto naprawdę nakręcał burdę" – podkreśla.

Klient swoją złość i frustrację skierował bezpośrednio na młodego Ukraińca. „Facet krzyczał coraz bardziej na tego biednego chłopaka i zaczął gadać, że był w służbach (mogę uwierzyć, jechało od niego SB-cją), ma wciąż znajomości i załatwi mu deportację do Ukrainy" – relacjonuje z oburzeniem Waloch.

W tym momencie postanowiła działać.

„Na to mnie trafił szlag, wyjęłam legitymację prasową, przedstawiłam się i poprosiłam, żeby mi do kamery telefonu wyjaśnił, z jakiego powodu powołuje się na wpływy w służbach i grozi człowiekowi deportacją oraz zapowiedziałam, że wezwę sokistów, a nagranie puszczę na żywo w sieci" – czytamy we wpisie.

Inni klienci też stanęli w obronie pracownika. Napastnik, widząc, że nie zyskuje poklasku, nikt oprócz niego nie zieje nienawiścią, szybko się wycofał.

„Piszę o tym, by dodać swoje świadectwo do tego, co się w tym kraju dzieje. Chcę też podkreślić to, że wtedy w tej Żabce ludzie naprawdę wzięli odpowiednią stronę. Reagujmy!" – podkreśliła Waloch na koniec.

Nienawiść narasta od miesięcy

To ostatnie dni. Miesiąc temu, na warszawskim Dworcu Centralnym pojawiły się grupy podające się za „patrole obywatelskie", mężczyźni zaczepiali i próbowali legitymować obcokrajowców.

7 maja tego roku kilku napastników zaatakowało grupkę czterech Ukraińców i Polkę, spacerujących po Moście Świętokrzyskim w Warszawie. Mężczyźni mieli ponoć pretensję, że rozmawiają po ukraińsku. W każdym razie na grupkę młodzieży rzuciło się pięć osób, używali gazu pieprzowego i kastetu. Brutalnie pobili trzech Ukraińców, jeden z nich trafił do szpitala. Doznał pęknięcia czaszki, miał zmasakrowaną twarz. Napastnicy próbowali zrzucić z mostu innego chłopaka. Uciekli na widok zbliżającego się radiowozu.

Tydzień później, w nocy z 14 na 15 maja, dwóch zamaskowanych mężczyzn najpierw wybiło szybę w ukraińskiej restauracji Mur Mur, a potem rozlało w niej łatwopalną ciecz. Wybuchł pożar.

– W latach 2024–2025 liczba przestępstw z nienawiści wzrosła o ponad 30 proc. – poinformował we wtorek w rozmowie z TVP Info wiceminister spraw wewnętrznych i administracji Czesław Mroczek.

W 2024 roku takich wydarzeń było ponad 760, a w 2025 – blisko 1,2 tys. Pytanie, jakimi danymi zakończymy rok 2026, bo wydaje się, że spirala nienawiści mocno się rozkręca.

O wzroście konkretnie nastrojów antyukraińskich w Polsce mówi także opublikowany pod koniec czerwca raport „Nie jesteśmy w domu. Ukraińscy migranci i uchodźcy o relacjach z Polakami".

Liczby nie kłamią: nasz stosunek do Ukraińców zmienił się przez ostatnie trzy lata. Według raportu opublikowanego przez CBOS, bazującego na danych z grudnia 2025 roku, 48 proc. z nas opowiada się za przyjmowaniem Ukraińców, podczas gdy 46 proc. jest temu przeciwnych. Tuż po rozpoczęciu pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę zwolennikami pomocy ukraińskim uchodźcom było aż 94 proc. społeczeństwa. Od lutego 2022 roku odsetek ten konsekwentnie spadał, by w 2025 roku osiągnąć najniższy poziom w historii badań, czyli od czasu aneksji Krymu w 2014 roku.

Wszytko dla lajków

O coraz bardziej powszechnych postawach antyukraińskich w internecie informował też ośrodek analityczny Res Futura. Jak podano, analiza objęła blisko 520 tys. wpisów opublikowanych w mediach społecznościowych pomiędzy 1 a 31 maja 2026 roku.

W tym czasie pojawiło się 520 tys. 155 publikacji dotyczących Ukrainy, które przyciągnęły 7,76 mln reakcji i komentarzy.

Michał Fedorowicz z Res Futura podkreślił, że niechęć do Ukrainy w przekazach medialnych rośnie z tygodnia na tydzień, a skala zjawiska jest największa od lat.

– Oznacza to, że bardzo dynamicznie rośnie nam suma negatywnych komentarzy. Nigdy nie widzieliśmy takiego wzrostu z tygodnia na tydzień od lutego 2022 roku. Praktycznie nie występują już albo są w bardzo małych ilościach komentarze, które bronią Ukrainy, co najwyżej tonują – wskazał.

Internautów bardziej niż bieżące działania wojenne, interesują kwestie historyczne i relacje sąsiedzkie. Jak można się było spodziewać, spore emocje wywołała decyzja prezydenta Ukrainy Wołodymyra Zełenskiego o nadaniu jednej z jednostek wojskowych imienia Bohaterów UPA, odpowiedzialnych za rzeź wołyńską. W ciągu tygodnia powstało wówczas 247 tys. wpisów — więcej niż w trzech poprzednich tygodniach łącznie.

Za ponad połowę negatywnych emocji wobec Ukraińców odpowiada Konfederacja, która co tydzień wprowadza do debaty nowy wątek wywołujący oburzenie: tani dostęp do Narodowego Funduszu Zdrowia (NFZ) dla Ukraińców, 500 tys. wniosków o pobyt czy zabrane pieniądze na muzeum Wołynia. Według autorów raportu to często fake newsy, ale sprostowania zawsze przychodzą za późno.

Fedorowicz zauważył, że Konfederacja razem z formacją Grzegorza Brauna „wymuszają" na Prawie i Sprawiedliwości (PiS) zajmowanie antyukraińskich stanowisk, to właśnie owa rywalizacja, o której mówił prof. Rafał Pankowski.

– Politycy po prawej stronie dzisiaj widzą, że jedynym nawozem, który daje im zasięg, daje im wyświetlenia, są tematy antyukraińskie. Wtedy dostają więcej serduszek, mają więcej komentarzy, więcej udostępnień – tłumaczył Fedorowicz.

Mechanizmy działania platform społecznościowych dodatkowo wzmacniają to zjawisko. Treści wrogie wobec Ukrainy są systemowo nagradzane przez algorytmy. Dotyczy to nie tylko polityków, ale również zwykłych twórców internetowych. Jak zauważają twórcy raportu, od sierpnia 2025 roku zaobserwowali jeszcze jedną rzecz: jeżeli jakikolwiek twórca w Polsce chce zarobić więcej lajków, mieć więcej interakcji, większy zasięg, wystarczy, że będzie miał treści antyukraińskie. To przełoży się jednoznacznie na wzrost jego zasięgu.

Postawmy więc sprawę jasno: „twórcy" internetowi, podobnie jak politycy, wykorzystają ludzkie lęki, ludzki strach, frustracje, złość, a czasami po prostu kompleksy i promują się na antymigracyjnych treściach. Robią to głównie z dwóch powodów: dla pieniędzy i politycznych korzyści.

Premier ostrzega polityków

Tyle tylko, że to droga w jedną stronę i mówił o tym już w czerwcu Donald Tusk. Ostrzegał, zwłaszcza opozycję.

– Z pojedynczych incydentów i wyzwisk zaczyna robić się fala, która jest niebezpieczna z punktu widzenia istoty Rzeczypospolitej – grzmiał z mównicy sejmowej. Zaznaczył przy tym, że na sali sejmowej oraz w mediach padają słowa, które upokarzają przyzwoitych obywateli.

Premier odniósł się bezpośrednio do wypowiedzi kwestionujących obecność osób o ukraińskich korzeniach w polskim rządzie. Nawiązał do nienawiści kierowanej wcześniej wobec Żydów i Niemców. Przywołał sytuacje z ostatnich 150 lat w Europie, wskazując, że polityczne polowania na ludzi o innym pochodzeniu wielokrotnie kończyły się katastrofą dziejową, taką jak II wojna światowa.

– Mówię tu o słowach „jak człowiek o pochodzeniu ukraińskim jest ministrem w polskim rządzie" – sprecyzował Tusk.

W ten sposób Tusk nawiązał do niedawnych słów Przemysława Czarnka, który w Sejmie grzmiał: – „Wstyd, skandal! Żądam przerwy w obradach i zwołania Konwentu Seniorów celem wyjaśnienia tej sprawy: dlaczego w tym rządzie dalej są Ukraińcy obrażający Polaków".

Premier ostrzegł przed konsekwencjami dalszego marszu w stronę „brunatnego, politycznego krajobrazu". Wskazał, że niektórzy posłowie zaczęli już lustrować i sprawdzać pochodzenie pracowników polskich urzędów.

Tusk zwrócił się do ław PiS i Konfederacji, mówił o „opamiętaniu". W czasie słychać było coraz głośniejsze okrzyki z ław opozycji, padły słowa o „straszeniu".

– Nie ja was straszę, wy musicie zacząć się bać ludzi z własnych szeregów, którzy napędzają falę niechęci – odparł premier.

I zwrócił się do członków opozycji, pytając ironicznie „czy chcą po nazwiskach i drzewach genealogicznych

eprasa.pl facf02ca37

FOT. WOJCIECH SZUBARTOWSKI/PAP

Ostatnie obchody dnia pamięci ofiar wołyńskiej zbrodni zmieniły się w antyukraińskie manifestacje

sprawdzać, kto pracuje w jakim urzędzie". Dodał przy tym, że jeżeli pochodzenie, rasa czy kolor skóry zaczną decydować, to politycy opozycji również „padną ofiarą tej fali".

– Wiecie, czym to się skończy? Tym, że będą się pytać posła Szrota, posła Schreibera, posła Webera, posła Fogla skąd są. A może ci posłowie wezmą się za łby razem z posłem Mentzenem, z panem Braunem, panem Fritzemi będą się bić o to, kto jest bardziej polski – mówił premier. – Panie Antoni, zburz pan pomnik Zygmunta III Wazy, bo to był Szwed – powiedział Donald Tusk, zwracając się do posła PiS Antoniego Macierewicza.

I przypomniał, że w historii Polski zapisało się wiele postaci o różnym pochodzeniu. Był Kopernik, Chopin, Kościuszko, Piłsudski, był Zygmunt III Waza i Stefan Batory.

– Najgorsze katastrofy zaczęły się od słów, później incydentów, później to przeradzało się w fale – powiedział Tusk, dodając, że wspomniane „fale" rodziły się, gdy „pozornie poważni politycy zaczynali używać tej argumentacji i tej retoryki".

– Jesteście w przededniu tego, opamiętajcie się, zatrzymajcie się, jest jeszcze czas – zaapelował, kierując swoje słowa do posłów opozycji.

To przemówienie premiera nie było bezpodstawne. I nie chodzi już tylko o wspomnianego Przemysława Czarnka, także były poseł PiS Janusz Kowalski zapowiedział kontrolę poselską dotyczącą „ukrainizacji w administracji publicznej".

– Złożyłem zapytanie dotyczące ukrainizacji w administracji publicznej. Wczoraj otrzymałem mail od pani Barbary Nowackiej (...). Tego maila wysłała mi chyba Ukrainka, bo nie ma polskiego nazwiska ani imienia. Ilu obcokrajowców pracuje u pani w ministerstwie? (...) Młodzi ludzie nie znajdują pracy, a zatrudniacie Ukraińców w polskiej administracji rządowej, nie ma to zgody – mówił w Sejmie Janusz Kowalski.

Jego słowa wywołały burzę, nie tylko w Sejmie, ale i w sieci.

Może jednak przyjdzie refleksja

Nie przejął się nią Przemysław Czarnek. W poniedziałek wieczorem był gościem w programie „Ewa Bugała. Wszystko jasne" w TV Republika. Mówił o podejściu do władz w Kijowie i zmianie polityki całej Unii wobec wojny w Ukrainie.

– Trzeba zmusić Unię Europejską, również naszą pozycją w Unii Europejskiej, do tego, żeby zaprzestać na ten moment finansowania w jakikolwiek sposób zbrojeń w Ukrainie i odbudowy Ukrainy, dopóki Ukraina nie wejdzie na ścieżkę wartości proludzkich – stwierdził polityk.

Wygląda jednak na to, że jego wypowiedź nie spodobała się Jarosławowi Kaczyńskiemu, czego sam zainteresowany chyba się nie spodziewał.

„Prawo i Sprawiedliwość stoi i zawsze stało na stanowisku, iż pomoc militarna, realizowana także przez UE na rzecz Ukrainy, jest bezwzględnie potrzebna. To kluczowa sprawa z punktu widzenia polskiej racji stanu i naszego bezpieczeństwa. Sprawa wypowiedzi pana Czarnka zostanie wyjaśniona przez kierownictwo partii" – napisał Jarosław Kaczyński w serwisie X.

Także prezydent Karol Nawrocki chce dalszego wspierania Ukrainy w walce z Rosją, przynajmniej tak przekazał sekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta Rafał Leśkiewicz.

Wydarzenia w Bielsku-Białej, Poznaniu, Łodzi postawiły polityków, także opozycji, pod ścianą, bo nie można już udawać, że nic się nie dzieje.

Wicemarszałek Sejmu Krzysztof Bosak, jeden z liderów Konfederacji, jednoznacznie potępił atak dorosłego mężczyzny na ukraińskie nastolatki w miejskim autobusie.

„Wyładowywanie swojego gniewu i frustracji na przypadkowych osobach to zło, niezależnie od kontekstu, a już szczególnie wobec kobiet czy dzieci. Pamiętajmy, by w takich sytuacjach reagować, a nie tylko przyglądać się czy nagrywać" – napisał na platformie X.

Na falę nienawiści skierowaną wobec Ukraińców zareagował także rzecznik PiS Rafał Bochenek.

„Każda forma przemocy i agresji, zarówno, fizyczna, jak i słowna, zwłaszcza wobec słabszych, w tym dzieci powinna być jednoznacznie potępiona, a sprawcy pociągnięci do odpowiedzialności! Nie ma miejsca na przemoc i przyzwolenie na nią, także ze strony władz centralnych" – napisał.

Swój wpis zaczął jednak od stwierdzenia, że wypowiedzi polityków koalicji rządzącej „zmierzają do cynicznego wykorzystywania do celów politycznych skandalicznej sytuacji z Bielska-Białej"

Bochenkowi odpowiedział lider partii Razem Adrian Zandberg i trzeba przyznać, że jego słowa są wystarczającym komentarzem do utyskiwań polityków opozycji. Zandberg zaznaczył, że „agresywny debil, który zaatakował dziewczynkę w Bielsku-Białej, nie wziął się znikąd".

„To, co pokrzykiwał do ukraińskiego dziecka, można było usłyszeć wcześniej – w Sejmie. To tam za winy polityków cynicznie atakowano zwykłych ludzi. Wasze dzieło, Krzysztofie Bosaku i Przemysławie Czarnku" – podsumował Zandberg. W punkt.

Z kolei na profilu partii Polska 2050 politycy tego ugrupowania pytają, czy Grzegorz Braun, Sławomir Mentzen czy Przemysław Czarnek „popierają ten kolejny prymitywny atak słowny na ukraińską dziewczynkę" i czy „potępią patologiczne, pełne nienawiści zachowania swoich zwolenników"?

„Wara od dzieci!" – dodano.

Reaguje Episkopat

Sytuacja wydaje się na tyle niepokojąca, że zareagował Kościół.

Podczas spotkania Rady Konferencjo Episkopatu Polski ds. Uchodźców i Migrantów dyskutowano nad przygotowaniami do tegorocznego Światowego Dnia Migranta i Uchodźcy, który obchodzony jest przez Kościół katolicki we wrześniu. Pojawił się również temat wzrostu antyukraińskich nastrojów w Polsce. Rada przypomniała, że takie zachowanie jest niedopuszczalne dla osób wierzących.

„Rada KEP ds. Migrantów i Uchodźców z przykrością odnotowała i jednoznacznie potępiła incydenty, świadczące o narastającej niechęci wobec przebywających w Polsce osób z Ukrainy. Napomnienie św. Piotra: „Okazujcie sobie wzajemną gościnność bez szemrania!" także dziś powinno kształtować nasze postawy względem przybyszów" – czytamy w oświadczeniu opublikowanym na stronie KEP. „Rada przypomina, że stosunek do cudzoziemców nigdy nie powinien być warunkowany przez doraźne polityczne interesy czy relacje z państwem ich pochodzenia" – dodano w piśmie.

W trakcie spotkania Rady poruszono temat uchodźców i migrantów, którzy znajdują się w najtrudniejszym położeniu: dzieci, osób starszych, chorych, niemogących podjąć pracy zarobkowej.

„Z niepokojem wysłuchano informacji o konsekwencjach wygaszenia im dostępu do służby zdrowia oraz zmianach w zakresie ośrodków zbiorowego zakwaterowania" – odnotowano w dokumencie Rady KEP ds. Migrantów i Uchodźców.

Dzisiaj w Polsce na stałe i czasowo przebywa około półtora miliona obywateli Ukrainy. Milion korzysta ze statusu ochrony czasowej, niemal 800 tysięcy jest ubezpieczonych, płaci podatki, posyła dzieci do szkół, legalnie pracuje, często w miejscach, do których nie garną się Polacy. Ci ludzie próbują się odnaleźć w obcym kraju, z dala od swoich rodzin, bliskich, przyjaciół, co wcale nie jest łatwe. Ale oni chcą odrobiny normalności, chcą po prostu spokojnie żyć.

REKLAMA 0211461412

eprasa.pl facf02ca37

HISTORIA

Liderzy dyscyplinują i motywują swoje drużyny

Donald Tusk przygotowuje członków KO na trudny wrzesień i apeluje o aktywność w mediach społecznościowych. Jarosław Kaczyński próbuje dyscyplinować partyjne szeregi, ale niewiele mu z tego wychodzi. Mateusz Morawiecki po raz kolejny wystawia cierpliwość prezesa na próbę

Dorota Kowalska

Do wyborów zostało niewiele ponad rok, nic więc dziwnego, że liderzy dwóch największych partii politycznych szykują się na decydujące starcie. Trzeba zewrzeć szyki, bo zarówno Koalicja Obywatelska, jak i Prawo i Sprawiedliwość mają swoje kłopoty.

KO na pewno dobrze nie zrobiło zamieszanie wokół Szpitala Południowego w Warszawie. Wprawdzie raport Najwyższej Izby Kontroli wykazał nieprawidłowości w funkcjonowaniu placówki, nie udowodnił jednak, że istniał słynny już salonik dla VIP-ów, w którym mieliby być poza kolejką przyjmowani politycy KO, ale za tą aferą stoi jeden z nich – były już członek partii, lekarz i były radny miasta Warszawy z ramienia Koalicji Obywatelskiej.

Nic więc dziwnego, że Donald Tusk próbuje motywować i zaktywizować członków KO, w każdym razie taki charakter miało mieć spotkanie premiera ze swoimi klubowymi koleżankami i kolegami w warszawskim hotelu Mercure Grand. Po spotkaniu posłowie niechętnie wypowiadali się o tym, co się na nim działo, a sam premier Tusk opuścił hotel tylnym wyjściem.

- Tego typu spotkania mają charakter motywacyjny i tym razem też tak było - powiedziała dziennikarzom wiceminister edukacji Katarzyna Lubnauer. I dodała, że to czas, kiedy każdy z posłów może się swobodnie wypowiedzieć i przekazać pozostałym swój punkt widzenia na taką czy inną sprawę.

Nie mogło być inaczej: politycy KO rozmawiali o aferze wokół Szpitala Południowego, ale, jak powiedział dziennikarzom poseł Witold Zembaczyński, „to nie był klub służący temu, aby patrzyć w przeszłość, to był klub na przyszłość".

- To, co się stało w Szpitalu Południowym i to, co się dzieje w bardzo wielu szpitalach, nas oburza. Na pewno to, co proponuje pani Jolanta Sobierańska-Grenda, to są dobre propozycje, będziemy je realizować - zapewniała Lubnauer, nawiązując tym samym do zmian w służbie zdrowia, które chce wprowadzić szefowa resortu. - Przed nami bardzo ważny rok wyborczy, dużo bardzo dobrych rozmów, przede wszystkim mobilizujemy się i to jest najważniejsze - dodał minister sportu Jakub Rutnicki.

W hotelu Mercure Grand najpierw głos zabrał premier, potem dyskutowano. Na spotkaniu byli praktycznie wszyscy posłowie Koalicji Obywatelskiej, którzy są w rządzie. Byli też ministrowie spoza klubu, choćby szef resortu sprawiedliwości Waldemar Żurek, pojawił się też minister finansów i gospodarki Andrzej Domański.

Z rozmów PAP z parlamentarzystami KO wynika, że spotkanie przebiegało w spokojnej atmosferze: nie było wzajemnych ataków czy pretensji. Premier Tusk miał mówić o zmianie geografii politycznej, niepokojącym wzroście popularności obu Konfederacji, wzroście populizmu i niechęci do Ukraińców. Było też o nowych wyzwaniach, związanych zwłaszcza z językiem przekazu politycznego. Tusk miał apelować do posłów o większą aktywność w mediach społecznościowych i stosowanie takiego języka, który będzie trafiał do młodych odbiorców. Podobny apel miał wystosować poseł Zembaczyński.

Premier zwrócił też uwagę, że wrzesień może być trudnym miesiącem, spodziewa się bowiem protestu nauczycieli, którzy - jak zauważył Donald Tusk - zostali przez obecny rząd dowartościowani, otrzymali podwyżki, ale kiedy zobaczyli, jakie zarobki są w służbie zdrowia, są gotowi protestować.

- Bo jak wytłumaczyć nauczycielowi z kilkunastoletnim stażem, że ma trzy razy mniej niż pielęgniarka - relacjonował jeden z posłów KO.

Pojawił się też wątek rozliczeń. Tusk miał apelować do parlamentarzystów KO, by nie dali sobie narzucać narracji, iż obecna koalicja nie rozlicza rządu PiS. Nigdy dotąd bowiem, miał mówić, wobec tak wielu ministrów nie było perspektyw postawienia zarzutów prokuratorskich.

- Ze spotkania wywnioskowałem też, że żadnej poważniejszej reformy już przed wyborami nie będzie - podsumował w rozmowie z PAP jeden z posłów.

W Prawie i Sprawiedliwości już tak spokojnie nie jest. Władze PiS dały działaczom siedem dni na opuszczenie organizacji „prowadzących działalność polityczną" w ramach ugrupowania. Chodzi głównie o „Rozwój Plus" Mateusza Morawieckiego i „Po pierwsze Polska" Jacka Sasina.

Na posiedzeniu prezydium komitetu politycznego PiS, na którym podjęto uchwałę, nie było Mateusza Morawieckiego. Decyzja zapadła bez jego udziału.

Środowisko „Maślarzy", które założyło stowarzyszenie „Po pierwsze Polska", podporządkuje się decyzji kierownictwa.

- Potrzebna jest jedność, całkowita mobilizacja wszystkich sił. Ta uchwała jest sprawą oczywistą, PiS musi być partią jednolitą - zaznaczył Jacek Sasin.

Co innego „Harcerze", czyli ludzie Mateusza Morawieckiego. Według ustaleń radia

REKLAMA 0011550896

eprasa.pl facf02ca37

Eska były premier przekazał swoim współpracownikom, że nie rozwiąże swojego stowarzyszenia. Podtrzymał też zaproszenie na grilla, który ma się odbyć w Warszawie 31 lipca.

- Niczego nie likwidujemy. 31 lipca aktualny - stwierdził poseł PiS należący do grona „Harcerzy" w rozmowie z Onetem. - Robimy dalej swoje. Czyli albo Jarosław Kaczyński się wycofa z tej decyzji, albo rozłam - dodał kolejny rozmówca portalu.

Na decyzję kierownictwa PiS zareagował także sam Mateusz Morawiecki.

„Mamy unikalną szansę zbudowania Wielkiej Polski, o jakiej marzyły pokolenia" - napisał na X. Zapewnił, że „taki jest i pozostanie" cel jego stowarzyszenia.

Dalej zachwalał, że jego stowarzyszenie „stało się miejscem, w którym Polacy chcą rozmawiać o przyszłości, przedstawiać konkretne rozwiązania i docierać do ludzi, którzy dziś oczekują od polityki przede wszystkim rozwoju, bezpieczeństwa i ambitnej wizji państwa".

Zdaniem byłego premiera „Polacy oczekują dziś poważnych odpowiedzi na najważniejsze wyzwania". Wymienił tu: demografię, zapaść finansów publicznych, bezpieczeństwo, mieszkania, ceny energii, przyszłość polskiej gospodarki i miejsce Polski w świecie.

„Nie potrzebują kolejnych płytkich hasełek, jałowych sporów i polityki opartej wyłącznie na wzajemnym okładaniu się" - dodał.

Ludzie Morawieckiego mówią jednym głosem, co pewnie nie spodobało się prezesowi.

FOT. PAP/EPA

Donald Tusk mobilizuje swoich ludzi do ciężkiej pracy

Piotr Mueller przyznał, że „z zaskoczeniem" przyjął informację o decyzji Prezydium Komitetu Politycznego PiS. „Mamy w @RozwojPlus dużo do zrobienia dla dobra wspólnego!" – wtórował mu Krzysztof Szczucki, który w latach 2020-2023 odpowiadał za legislację w rządzie Morawieckiego.

„Nic dodać, nic ująć. Odważnie idziemy do przodu, żeby odsunąć od władzy zły rząd D. Tuska i naprawić Polskę" - to z kolei poseł

FOT. PAP/RADEK PIETRUSZKA

Jarosław Kaczyński próbuje rozwiązać konflikty wewnątrz partii

PiS Paweł Jabłoński, udostępniając wpis Morawieckiego.

Eurodeputowany PiS Waldemar Buda po ogłoszeniu uchwały zaprosił wszystkich na osławionego już grilla.

„Nowa formuła, zaskakujący goście, rozwój i przyszłość. Serdecznie zapraszamy, będzie się działo!" - czytamy we wpisie Budy.

Na wpisy „Harcerzy" zareagował rzecznik PiS, Rafał Bochenek.

„Naprawdę szczerze radzimy koleżankom i kolegom, by się nad tym zastanowili. Nie ułatwiajmy Tuskowi zwycięstwa" - zaapelował Bochenek.

Sytuacja jest tak dynamiczna, że skomentował ją wywołany do tablicy Donald Tusk.

„Grillujesz Mateusz" - napisał krótko szef rządu na X.

Cóż, wydaje się, że wojna frakcji w Prawie i Sprawiedliwości rozkręca się na dobre i powoli „idzie na noże". A to niejedyny kłopot prezesa Kaczyńskiego.

Jeśli spojrzeć na ostatnie sondaże, dominacja Prawa i Sprawiedliwości została skutecznie zakwestionowana. PiS ma już tylko około połowy prawej strony rynku politycznego. To nowa sytuacja, bo dotychczas Prawo i Sprawiedliwość dość niepodzielnie panowało nad prawicowymi wyborcami. Ale też partia Jarosława Kaczyńskiego oddała w ostatnim czasie prawie dwa miliony wyborców Grzegorzowi Braunowi i Konfederacji.

Spełnił się zatem czarny sen prezesa Kaczyńskiego, bo na prawo od PiS wyrósł mu nie jeden, ale dwóch konkurentów, których zsumowane poparcie jest większe niż to dla Prawa i Sprawiedliwości, sama Konfederacja Mentzena i Bosaka niebezpiecznie zbliża się do PiS (różni ich już tylko niewiele ponad 4 punkty procentowe).

Obaj liderzy mają więc przed sobą sporo pracy. W obu największych partiach widać jednak pewną różnicę: KO mówi jednym głosem, w Prawie i Sprawiedliwości jedności nie widać. Pytanie, komu grill Morawieckiego odbije się czkawką. PAP

MATERIAŁ INFORMACYJNY PGE
0011548584

PGE uruchamia nowe programy społecznej odpowiedzialności biznesu

Grupa PGE w 2026 roku znacząco zwiększa skalę działań w obszarze społecznej odpowiedzialności biznesu (CSR), rozwijając zarówno dotychczasowe inicjatywy środowiskowe, jak i uruchamiając nowe programy w obszarach nauki oraz zdrowia. Podczas inauguracji nowych programów PGE i Lasy Państwowe podpisały także list intencyjny o ogólnopolskiej współpracy.

Działania realizowane są w ramach trzech głównych programów: PGE Energia Natury, PGE Energia Nauki, PGE Energia Zdrowia. Łącznie obejmują one kilkadziesiąt projektów oraz dziesiątki instytucji w całej Polsce.

– Razem te trzy programy przekładają się na wsparcie przekraczające 8 mln zł dla wielu instytucji w całej Polsce. Od parków narodowych, przez szkoły, muzea, instytucje naukowe, po fundacje pomagające ludziom w najtrudniejszych momentach życia – powiedziała Katarzyna Rozenfeld, wiceprezeska PGE podczas wydarzenia „Odpowiedzialność zasilana energią".

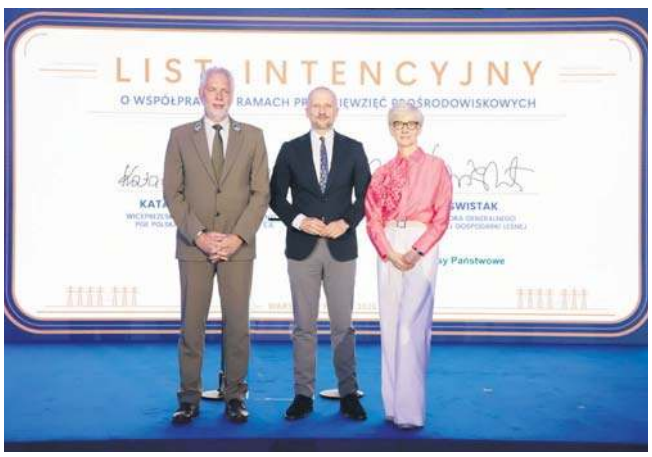

List intencyjny z Lasami Państwowymi

Podczas inauguracji nowych programów przedstawiciele PGE i Lasów Państwowych, w obecności wiceministra klimatu i środowiska, podpisali list intencyjny o ogólnopolskiej współpracy.

– List intencyjny podpisany z Lasami Państwowymi, przenosi naszą współpracę na poziom ogólnopolski. Jednak jego prawdziwa wartość leży nie tylko w podpisach, ale w pracy i zaufaniu, które budujemy wspólnie od prawie ćwierć wieku w ramach programu „Las pełny energii". Jednocześnie jestem bardzo dumna, że w naszym programie uczestniczą wszystkie 23 parki narodowe w Polsce – dodała wiceprezeska Katarzyna Rozenfeld.

Mikołaj Dorożała, wiceminister klimatu i środowiska powiedział między innymi, że współpraca największej grupy energetycznej w kraju z parkami narodowymi i Lasami Państwowymi pokazuje, że rozwój sektora i ochrona przyrody mogą się wzajemnie wzmacniać.

– Cieszę się, że spółki z udziałem Skarbu Państwa biorą odpowiedzialność za dobro wspólne – dodał Mikołaj Dorożała.

Cezary Świstak, zastępca dyrektora generalnego Lasów Państwowych ds. zrównoważonej gospodarki leśnej odczytał list od dyrektora generalnego Adama Wasiaka, w którym zwrócił on między innymi uwagę, że podpisany list intencyjny jest nie tyle początkiem współpracy, ile wyrazem woli jej dalszego rozwoju.

– Nasza współpraca z PGE ma solidne podstawy. Program „Lasy pełne energii" doczekał się już 26 edycji, a wspólne działania – od sadzenia lasów, przez ich sprzątanie, aż po ochronę ekosystemów i eliminowanie gatunków inwazyjnych – przynoszą wymierne efekty dla bioróżnorodności – powiedział Cezary Świstak.

Oprócz ochrony przyrody koncern rozwija również działania edukacyjne w ramach programu PGE Energia Nauki.

– W ubiegłym roku rozpoczęliśmy lekcje o energetyce przyszłości dla blisko 7 tys. uczniów. Dziś współpracujemy z dwunastoma instytucjami – od muzeów po jednostki Polskiej Akademii Nauk – i tworzymy także miejsca, w których młodzi ludzie mogą samodzielnie prowadzić eksperymenty – dodała Rozenfeld.

Nowy filar: zdrowie

Trzeci filar działań, czyli program PGE Energia Zdrowia, łączy projekty realizowane na rzecz społeczeństwa oraz pracowników Grupy.

– Program PGE Energia Zdrowia pokazuje, że żaden projekt nie powiedzie się bez zdrowych ludzi. Dlatego pomagamy między innymi wracać do pracy osobom po kryzysach i chorobie, a także wspieramy zdrowie psychiczne dzieci i seniorów oraz pomoc osobom z niepełnosprawnościami i chorobami onkologicznymi – podsumowała wiceprezeska.

Kluczowe programy

Za wsparcie formalne i organizacyjne oraz współpracę z partnerami odpowiada Fundacja PGE.

PGE Energia Natury. Program środowiskowy jest realizowany od kilku lat i koncentruje się na ochronie przyrody oraz edukacji ekologicznej. W 2026 roku został rozszerzony. W ramach programu wsparcie otrzymało 31 beneficjentów, podczas gdy wcześniej było ich 22, a jego wartość przekroczyła 3,69 mln zł, wobec 2,4 mln zł w poprzednim okresie. Współpraca objęła wszystkie 23 parki narodowe, podczas gdy wcześniej obejmowała 14.

PGE Energia Nauki. Jest to nowy obszar działań, który koncentruje się na rozwoju edukacji, popularyzacji nauki oraz wspieraniu kompetencji przyszłości. Program obejmuje wsparciem muzea przyrodnicze i geologiczne, jednostki PAN, regionalne centra edukacji naukowej oraz projekty edukacyjne realizowane na rzecz lokalnych społeczności. W jego ramach nawiązano współpracę z 12 instytucjami naukowymi i edukacyjnymi, a wartość udzielonego wsparcia przekroczyła 2,26 mln zł.

PGE Energia Zdrowia skupia się na działaniach odpowiadających na rosnące potrzeby zdrowotne społeczeństwa i pracowników. W ramach programu przekazano ponad 2,14 mln zł wsparcia oraz nawiązano współpracę z 9 partnerami projektowymi. W samej spółce prowadzone są również działania wewnętrzne, które obejmują rozwój profilaktyki zdrowotnej oraz zwiększanie dostępności badań dla pracowników.

eprasa.pl facf02ca37

TEMAT TYGODNIA

Prof. Szukalski: Są w Polsce regiony, z których wyjechała prawie połowa młodych ludzi. One opustoszeją

Mamy już dzisiaj w Polsce takie gminy, gdzie ponad czterdzieści procent ludności ma ukończone sześćdziesiąt lat, a dwanaście, trzynaście procent to osiemdziesięciolatkowie. Chyba nikt nie ma żadnych złudzeń, jaka przyszłość czeka te obszary – mówi prof. Piotr Szukalski, demograf i gerontolog z Uniwersytetu Łódzkiego, autor analizy „Przemiany ludnościowe w Polsce w pierwszym ćwierćwieczu XXI wieku"

Dorota Kowalska

Panie profesorze, gdyby na podstawie pana analizy „Przemiany ludnościowe w Polsce w pierwszym ćwierćwieczu XXI wieku" nakręcić dokument, to powstałby film katastroficzny.

Nie przesadzajmy! Nie sądzę, żeby to byłby film katastroficzny. Myślę raczej, że wyszedłby film z suspensem w kilku miejscach.

Ale sam pan powiedział, że – jeśli idzie o demografię – osiągamy poziom, który niegdyś uchodził za dno towarzyszące sytuacjom kryzysowym.

Tak, jeśli idzie o dzietność, publicyści mają prawo mówić o katastrofalnej sytuacji. Ja mogę powiedzieć tylko o sytuacji wyraźnie długofalowo niepokojącej. Natomiast generalnie nie oceniałbym tego tak tragicznie. Proszę zwrócić uwagę, że mamy jednocześnie do czynienia z pozytywnymi zmianami. Staliśmy się na tyle atrakcyjnym krajem, że setki tysięcy ludzi chcą się tu osiedlać – jeśli to nie jest pozytywne, to nie wiem, co w takim razie miałoby być.

Jakie główne cztery tendencje wynikają z pana analizy? Pierwsza jest taka, że od 35 lat nie mamy zastępowalności pokoleń.

Tak, musimy sobie jasno powiedzieć: weszliśmy na długotrwałą ścieżkę, która prowadzi nas do coraz niższego poziomu dzietności. Wyobraźmy sobie: jesteśmy na górce, z której powoli schodzimy w dół, tyle tylko, że horyzontu kolejnej góry, po której moglibyśmy się wspinać, nie widać. Taką mamy dzisiaj sytuację.

Mówi się, że nadciąga era singli, tych singli już dzisiaj są miliony.

Tak, ale wrócę do tych młodych. Mam wrażenie, że panuje wśród nich kultura świadomego unikania sytuacji mało przyjemnych. Czy chciałaby się pani dowiedzieć, że nie umie budować związków? Albo, że jest złym rodzicem? Prościej jest unikać związku i nie mieć dzieci.

Myśli pan, że to ten mechanizm?

Myślę, że w dużym stopniu tak. Były swego czasu robione badania, które pokazywały, jak to działa w przypadku związków. Oglądanie komedii romantycznych, gdzie wszystko jest idealne, uświadamia nam, jak bardzo odstajemy od normy, bo przecież ten ideał to norma. Wie pani, jeśli mamy do czynienia z nadmiernie rozbudowanymi oczekiwaniami co do tego, jak powinno wyglądać życie z drugim człowiekiem, co powinien robić rodzic, bo w filmach poświęca dzieciom wiele godzin dziennie, to co się dziwić, że ludzie chcą unikać sytuacji, które by wskazywały, że nie są idealnymi partnerami i nie są idealnymi rodzicami. Czy chciałaby pani sama siebie nazwać nieudacznikiem w takich sferach jak związek czy rodzicielstwo? Chyba nie. Więc lepiej uniknąć takich sytuacji, niż okazać się tym nieudacznikiem.

Wspomniał pan już o tym, pana analiza mówi o migracjach wewnątrz naszego kraju i o tym, że młode kobiety uciekają z małych miejscowości, prawda?

Generalnie młodzi uciekają z małych miejscowości. Mamy takie powiaty, gdzie według oficjalnych statystyk więcej niż jedna trzecia młodych uciekła. Podkreślam – według oficjalnych statystyk. Wszyscy zdajemy sobie sprawę, że w przypadku migracji ich znaczna część jest nierejestrowana. Ludzie wyjeżdżają, nie meldując się w nowym miejscu pobytu. Z reguły liczą się z jedną instytucją publiczną i tam podają rzeczywisty adres zamieszkiwania, to są urzędy skarbowe. I kiedy porównuje się adresy zameldowania i adresy korespondencyjne z urzędami skarbowymi widać, że w tych najmniej popularnych miejscowościach po dziesięć, piętnaście procent ludzi niby tam zameldowanych, tych trzydziestolatków właśnie, ma inny adres korespondencyjny niż gmina, w której formalnie mieszka. A z kolei w przypadku wielkich miast widzimy, że liczba osób podających adres korespondencyjny jest znacząco większa niż liczba osób zameldowanych. W związku z czym zdajemy sobie sprawę, że jeśli są powiaty, gdzie trzydzieści, trzydzieści pięć procent młodych ludzi oficjalnie uciekło, to w rzeczywistości zwiało ich czterdzieści, czterdzieści pięć procent. To jaka przyszłość czeka te obszary? Jaka przyszłość czeka Krasnystaw, Hrubieszów, które charakteryzują się największymi odpływem młodych?

Kiedyś ludzie, którzy tam mieszkają, umrą i zostaną puste domy.

Już stoją puste domy, puste mieszkania. Przedwczoraj rozmawiałem z moją kuzynką, która mieszka w Warszawie, ale w powiatowym mieście oddalonym o trzydzieści kilka kilometrów od Łodzi po śmierci rodziców drugi rok próbuje sprzedawać mieszkanie. Ostatnia propozycja to pięć tysięcy za metr kwadratowy mieszkania w bloku z końcówki lat osiemdziesiątych. Brak chętnych. Mówi mi „Posłuchaj,

eprasa.pl facf02ca37

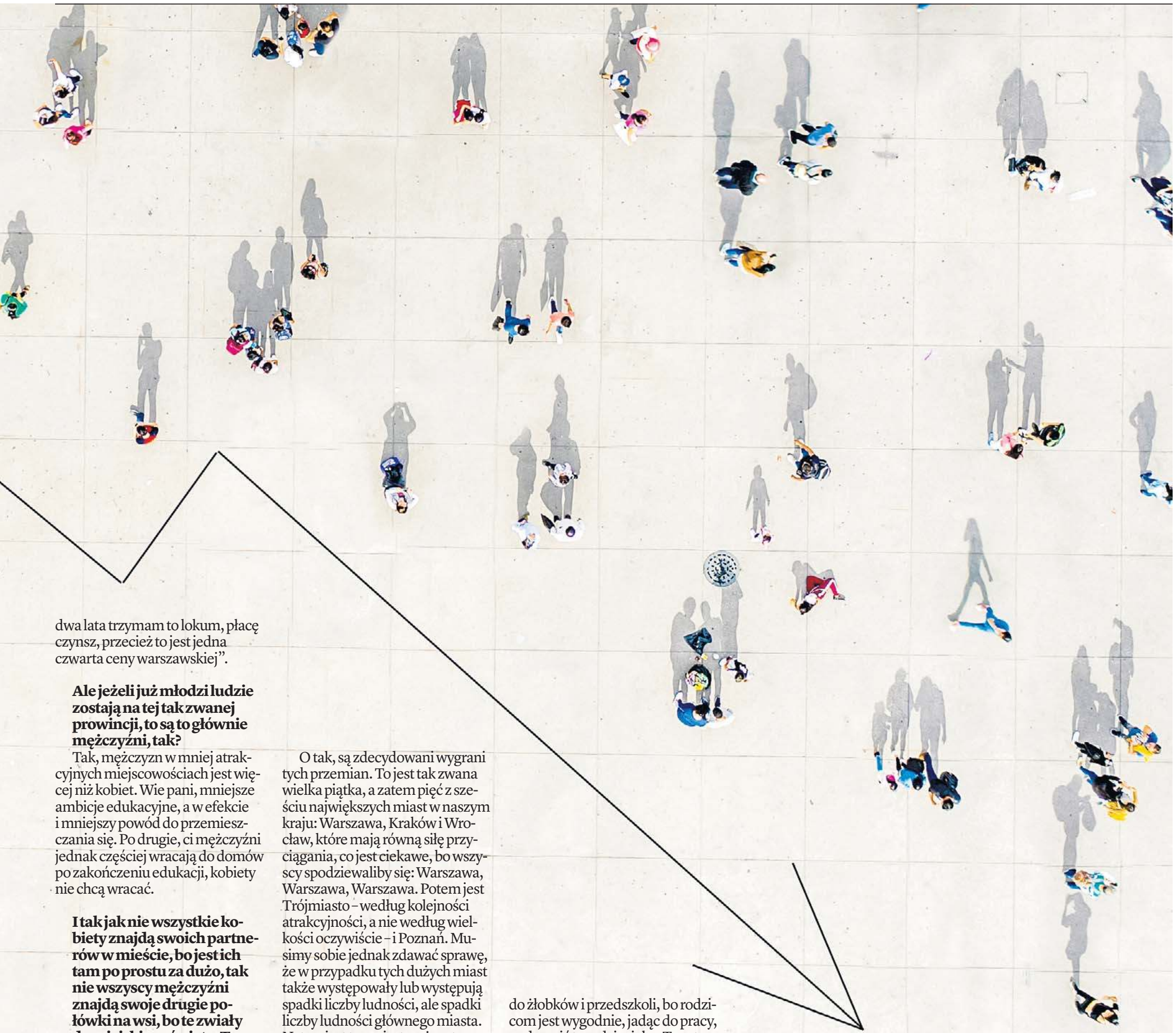

dwa lata trzymam to lokum, płacę czynsz, przecież to jest jedna czwarta ceny warszawskiej".

Ale jeżeli już młodzi ludzie zostają na tej tak zwanej prowincji, to są to głównie mężczyźni, tak?

Tak, mężczyzn w mniej atrakcyjnych miejscowościach jest więcej niż kobiet. Wie pani, mniejsze ambicje edukacyjne, a w efekcie i mniejszy powód do przemieszczania się. Po drugie, ci mężczyźni jednak częściej wracają do domów po zakończeniu edukacji, kobiety nie chcą wracać.

I tak jak nie wszystkie kobiety znajdą swoich partnerów w mieście, bo jest ich tam po prostu za dużo, tak nie wszyscy mężczyźni znajdą swoje drugie połówki na wsi, bo te zwiały do miejskiego świata. Trochę zamknięte koło!

Dokładnie tak. Czynnik czysto strukturalny również jest bardzo ważny w wyjaśnianiu zmian, jakie się dokonują w naszym kraju, jeśli idzie o częstość zawierania związków małżeńskich czy częstość posiadania potomstwa.

W swojej analizie zwraca pan uwagę na jeszcze jedną ważną rzecz: młodzi uciekają do dużych miast, ale już niekoniecznie do wszystkich.

O tak, są zdecydowani wygrani tych przemian. To jest tak zwana wielka piątka, a zatem pięć z sześciu największych miast w naszym kraju: Warszawa, Kraków i Wrocław, które mają równą siłę przyciągania, co jest ciekawe, bo wszyscy spodziewaliby się: Warszawa, Warszawa, Warszawa. Potem jest Trójmiasto – według kolejności atrakcyjności, a nie według wielkości oczywiście – i Poznań. Musimy sobie jednak zdawać sprawę, że w przypadku tych dużych miast także występowały lub występują spadki liczby ludności, ale spadki liczby ludności głównego miasta. Natomiast to, co jest ważne, to fakt, że w ciągu tego ćwierćwiecza wskutek suburbanizacji pojawiły się obszary metropolitarne – bardzo gęsto zaludnione tereny okalające wielkie miasta, połączone z nimi w sposób funkcjonalny. Ludzie mieszkający na tych przedmieściach pracują w tym wielkim mieście, ich dzieci uczą się w tym mieście, nie tylko, że studiują, chodzą do szkół średnich, chodzą do podstawówek, są wożone do żłobków i przedszkoli, bo rodzicom jest wygodnie, jadąc do pracy, podrzucić tam dzieciaka. To w tym wielkim mieście robi się zakupy. To w tym wielkim mieście chodzi się do lekarza. To w tym wielkim mieście de facto koncentruje się centrum życia. Ale znaczną część czasu wolnego i noc spędza się we własnym domku czy mieszkaniu na przedmieściach, co zresztą jest tańszym rozwiązaniem w momencie nabywania tego mieszkania. Ceny na przedmieściach są jednak znacząco niższe niż w centrum, ale nasze życie na przedmieściu rzutuje z kolei na koszty dojazdu i czas dojazdu.

Czemu na przykład Łódź przestała być atrakcyjna? Szczecin nie jest tak atrakcyjny, Rzeszów nie jest tak atrakcyjny?

Akurat Rzeszów ma całkiem dobrą sytuację z uwagi na to, iż dla mieszkańców swojego województwa jest pierwszym punktem odniesienia. Zresztą to jest naturalne, że stolica województwa jest pierwszym punktem odniesienia, jeśli myśli się o przemieszczeniach wewnątrz regionu. Rzeszów jest w naprawdę dobrej sytuacji, proszę mi wierzyć.

Ale inne miasta nie są tak atrakcyjne jak wielka piątka, dlaczego?

Ich oferta odnosząca się do tego, jak można w nich zarabiać i w jaki sposób można wydawać w nich pieniądze, jest zdecydowanie słabsza niż wielkiej piątki. One sobie

FOT. GETTY IMAGES

eprasa.pl facf02ca37

TEMAT TYGODNIA

Liczba urodzeń w latach 2000–2025

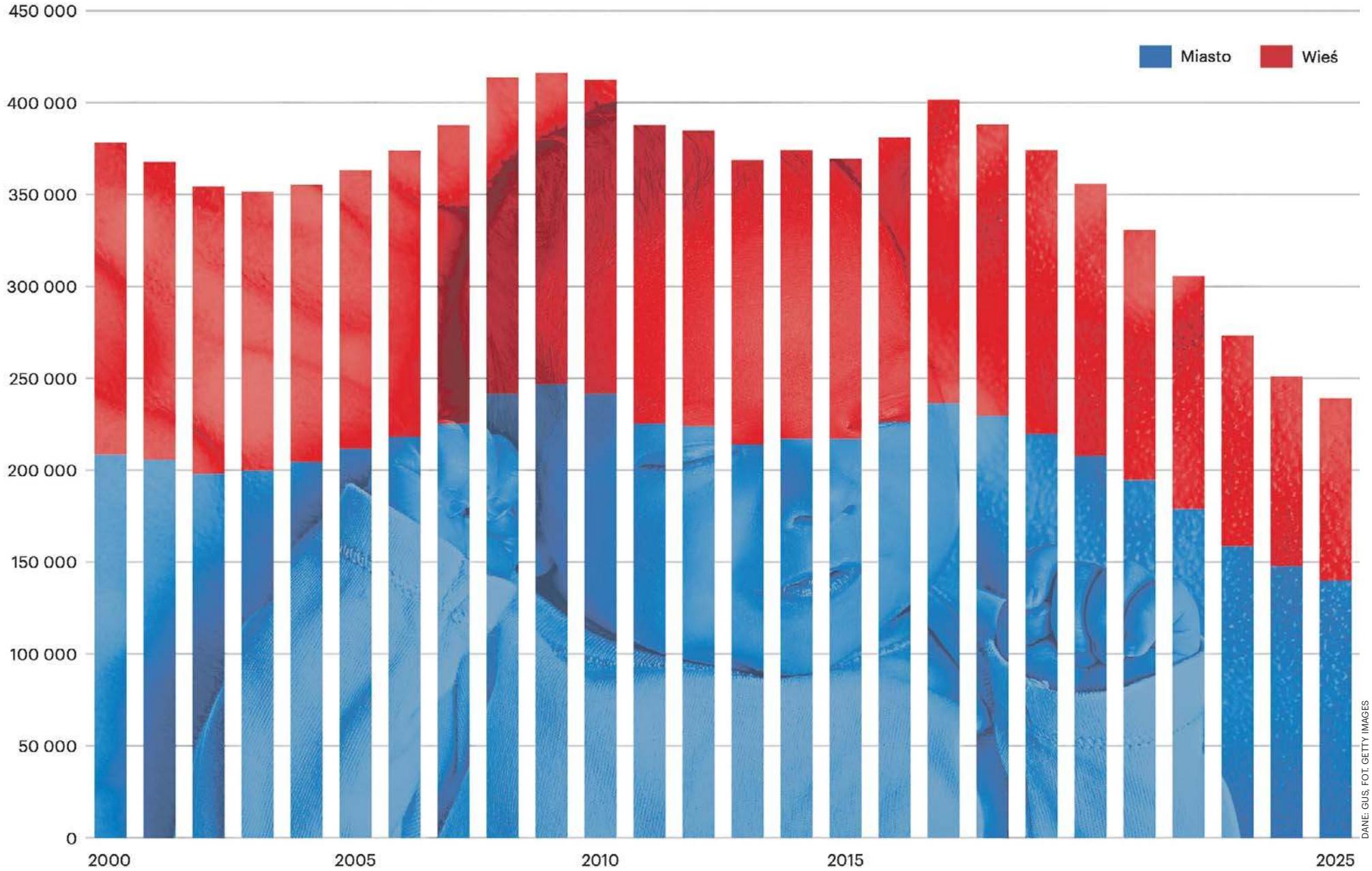

DANE: GUS, FOT. GETTY IMAGES

po prostu wytworzyły pewną markę i w wyobraźni młodych jawią się jako takie super atrakcyjne miejsca, gdzie da się zarobić i da się zaszaleć w wolnym czasie. To ma swoje obiektywne rzeczywiście uzasadnienie, bo jeśli pani patrzy na przykład na publikowane przez Urząd Statystyczny w Bydgoszczy informacje o wysokości wynagrodzeń, to widać, że ta wielka piątka, tych pięć obszarów charakteryzuje się najwyższymi wynagrodzeniami w naszym kraju, pomijając specyficzne miejsca z firmami typu KGHM czy Kopalnia i Elektrownia w Bełchatowie.

Pan wysunął odważną dość tezę, że za dwadzieścia, może trzydzieści lat będzie w Polsce pięć, może sześć głównych metropolii, a poza tym pustynia!

Nie przesadzajmy z tą pustynią! Ale jeśli nie zmieni się polityka regionalna w naszym kraju, to rzeczywiście może dojść do tego, że pojawi się kilka dobrze dających sobie radę obszarów metropolitalnych żywiących się tym, że będą wysysać młodzież z pozostałych obszarów. Potrzebna jest polityka regionalna, polityka wspierania kilkudziesięciu co najmniej ośrodków miejskich, miast średniej wielkości na terenie naszego kraju. Jeśli jej nie będzie, ten scenariusz jest prawdopodobny.

Wiadomo, że w tych bardzo atrakcyjnych pięciu czy sześciu ośrodkach metropolitalnych będą wysokie ceny mieszkań, będą wysokie ceny gruntów, będzie się żyło drożej.

Tak, aczkolwiek nie aż tak, jak można byłoby się spodziewać. Pamiętajmy, że w warunkach obniżającej się liczby ludności w pewnym momencie, prędzej czy później, w każdym z tych ośrodków osiągnięta zostanie maksymalna liczba ludności, a za kilkanaście lat w każdym z nich, jeśli będziemy patrzeć nie tylko na miasto, ale i obszar metropolitalny, powoli zacznie się również zmniejszać liczba ludności. Tyle tylko, że rozpocznie się znacznie później i będzie przebiegać wolniej i przy innej strukturze wieku ludności niż na tych obszarach peryferyjnych.

Ci młodzi nie będą się łączyć w związki, nie będą się pojawiać dzieci, a ci starzy zaczną po prostu umierać.

Tak jest. Mamy już dzisiaj w Polsce takie gminy, gdzie ponad czterdzieści procent ludności ma ukończone sześćdziesiąt lat, a dwanaście, trzynaście procent to osiemdziesięciolatkowie. Chyba nikt nie ma żadnych złudzeń, jaka przyszłość czeka te obszary.

Z pana analizy wynika, że jeżeli nic się nie zmieni, to taka jest również przyszłość naszego kraju.

Może dojść do tego, że pojawi się kilka dobrze dających sobie radę obszarów żywiących się tym, że będą wysysać młodzież z innych miejsc

PROF. PIOTR SZUKALSKI
demograf i gerontolog

Tak. Musimy się przyzwyczajać do życia w kraju o coraz mniejszej liczbie ludności. Chociaż oczywiście zawsze możemy otworzyć granice i powiedzieć: „Przyjmujemy każdego", choć jak łatwo się domyślać, przyszłość polityki migracyjnej w Polsce to przyszłość dopasowana do potrzeb rynku pracy.

Panie profesorze, mogło się wydawać, że pandemia trochę pewne trendy odwróci. Fakt, że wielu z nas pracuje zdalnie, sprawia, że możemy pracować właściwie z każdego zakątka kraju: z Bieszczad, z Mazur, z Podlasia. Ludzie tam jednak nie wyjechali, mimo że mieszkania są tam tańsze, a życie też nie tak drogie jak w stolicy czy w Krakowie. Dlaczego właściwie?

Podkreślałem, mówiąc o przyczynach, dla których młodzi uciekają do wielkich miast, że oni chcą dobrze zarobić i w atrakcyjny sposób wydać kasę. W ogóle nie doceniamy tego, że młodzi chcą w fajny, ciekawy dla siebie sposób spędzać czas. Chcą mieć wybór tego, co mogą robić. Proszę mi wybaczyć, ale na podlaskiej wsi możliwości dotyczące spędzania wolnego czasu, wydawania własnych pieniędzy są niewspółmierne do tego, co można robić już nawet nie w Warszawie, Krakowie, ale nawet w Łodzi.

Ale mówię o osobach w wieku lat pięćdziesięciu, czterdziestu paru. Te osoby też nie wyjechały w czasie pandemii i po niej na tak zwaną prowincję?

No tak, ale w pewnym momencie, kiedy dzieci się usamodzielniają, rodzice chcą być w miarę blisko nich. Kilka razy moi znajomi po przejściu na emeryturę przenieśli się z Łodzi do Gdańska czy gdzieś pod Warszawę, bo córka, syn tam mieszkają, a oni chcą im pomóc przy w wychowywaniu dzieci, być blisko.

Dużo się mówiło o trendzie uciekania w naturę, o tym, że ludzie porzucają życie w wielkich miastach i chcą

eprasa.pl facf02ca37

pracować w ciszy, w spokoju, w górach, nad jeziorami. Nie ma tego?

Praca czy ucieczka od zgiełku miasta w coraz większym stopniu przybiera postać dwudomowości. Tego, że ma się oprócz mieszkania w wielkim mieście, z którym się jest związanym zawodowo, jakiś domek na obszarze atrakcyjnym z punktu widzenia walorów krajobrazowych czy środowiskowych. Spędza się w nim dwa, trzy dni, kiedy można pracować online, plus weekend. Musimy sobie zdawać sprawę, że ten trend jest w Polsce obserwowalny, aczkolwiek słabo się go bada. Bo trudno jest jednoznacznie uznać, kto jest właścicielem konkretnego domku i ile czasu w nim spędza, prawda? Wiadomo jednak, że pojawia się coraz większa grupa ludzi, która wykorzystuje możliwości, jakie daje praca zdalna nie po to jednak, żeby się wyprowadzić na prowincję, ale na niej bywać. W efekcie, tak jak mówię, zaczyna się nam w Polsce pojawiać dwudomowość, która będzie zapewne wzmacniana z uwagi na to, że cztery i pół procent naszej populacji ma w tej chwili osiemdziesiąt lat, przy czym ci osiemdziesięciolatkowie są skoncentrowani przede wszystkim na najsłabiej rozwiniętych obszarach. W efekcie w ciągu kilku, kilkunastu lat pojawi się cała masa nieruchomości właśnie na Podlasiu, Lubelszczyźnie, gdzie będzie można uciekać od zgiełku, płacąc za to śmieszne pieniądze w porównaniu z cenami nieruchomości w Warszawie, Krakowie czy Wrocławiu.

Zostałabym jeszcze przy tych młodych, pobawmy się trochę w socjologów. Jak pan myśli, co jeszcze oprócz tego, o czym pan już wspomniał, tej niechęci sprawdzania się w roli partnera czy rodzica decyduje o tym, że ludzie tak trudno wchodzą w związki i nie decydują na powiększenie rodzin?

Łatwiej mi mówić o powiększaniu rodzin, jak łatwo się pani domyśla, bo tu jest jeden czynnik, który jest bardzo ważny – warunki mieszkaniowe, rozmawialiśmy o tym. Jeśli chce pani być rodzicem, to na pierwsze dziecko zdecyduje się pani dość szybko, ale w przypadku dziecka drugiego, trzeciego pojawiają się większe problemy materialne, a przede wszystkim mieszkaniowe. Chce pani zapewnić w przyszłości dobre warunki dzieciom, jeśli ma pani dwoje różnej płci, to musiałaby pani perspektywicznie pomyśleć o dwóch pokojach dla nich. Bardzo ładnie to widać na przykładzie suburbanizacji. Jeśli porozmawia pani z jakimkolwiek wójtem gminy podmiejskiej, to powie pani tak: „Norma jest taka, że najpierw budują dom, a potem pojawia się drugie dziecko". Ci, którzy przenoszą się pod miasto, najpierw budują dom, a potem pojawia się u nich drugie, trzecie dziecko, bo powierzchnia mieszkania przestała być barierą przed realizacją planów prokreacyjnych.

Wydaje się, że młodzi są bardziej racjonalni, kiedyś rodzeństwo mieszkało w jednym pokoju i tyle, metry kwadratowe nie były tak ważne jak dzisiaj.

Zmienił się standard życia, zmieniły się oczekiwania. Nie ma się co dziwić, że ludzie dostosowują się do zmieniającej się rzeczywistości.

Czy jakiekolwiek programy pronatalistyczne mają sens?

Mają. Nie wierzę jednak, żeby jakikolwiek instrument w pojedynkę zadziałał, bo po pierwsze – różne są oczekiwania. Być może dla kogoś pracującego za płacę minimalną osiemset złotych na dziecko to bodziec, żeby myśleć o wydaniu na świat potomstwa. Ale dla pracującej w wielkomiejskiej korporacji zarabiającej dwadzieścia tysięcy złotych prawniczki to na pewno nie jest żaden argument. Dla niej z kolei być może świadomość, że jeśli urodzi dziecko, będzie miała dostęp do wysokiej jakości opieki żłobkowej i przedszkolnej, zdecydowanie silniej zmotywuje ją do tego, aby myśleć o posiadaniu dziecka. W zależności od sytuacji materialnej, zawodowej te bodźce mogą zupełnie inaczej wpływać na ludzi. Natomiast głęboko wierzę, że jeśli mamy do czynienia z rozbudowanymi, różnorodnymi instrumentami polityki pronatalistycznej, to one gdzieś tam oddziałują na taką aurę wokół rodzicielstwa, zwłaszcza wokół macierzyństwa. Wie pani o czym mówię?

Doskonale!

Człowiek nie myśli o tym, że jest sam, że musi znaleźć pieniądze, że musi znaleźć czas, zaopiekować się maluchem. Muszę, muszę, muszę. Jeśli będzie miał jednak jakiś rodzaj wsparcia z zewnątrz, pomyśli, że może nie będzie tak źle. Te wszystkie instrumenty polityki pronatalistycznej, ich niedoceniana sensowność, jest właśnie związana z oddziaływaniem na aurę wokół rodzicielstwa.

Z drugiej strony, myślę sobie, że w takim społeczeństwie jak nasze, w społeczeństwie coraz mniej licznym, coraz bardziej starym, państwo powinno trochę zmienić kierunki działania, poświęcić więcej uwagi opiece nad ludźmi starszymi. Powinno powstawać więcej oddziałów szpitalnych dla takich ludzi, domów opieki, domów dobrej starości. Starzejące się społeczeństwo zmienia sposób funkcjonowania państwa. Nie uważa pan?

Ależ oczywiście. Przy czym chciałbym odnieść się do pani słów i skorygować je. Nie dla osób starszych, dla osób niesamodzielnych z uwagi na zaawansowany wiek, bo przecież nie każdy starszy od razu potrzebuje oddziału opieki.

Pełna zgoda! Pewnie, że tak.

Natomiast z rzeczywistych względów musimy zdawać sobie sprawę, że niesamodzielność jest ściśle powiązana z wiekiem, a mamy do czynienia z bardzo szybkim wzrostem liczby ludzi bardzo starych, na dodatek ten wzrost będzie jeszcze gwałtowniejszy w nadchodzących kilkunastu latach. Wspomniałem już o tym – pierwszy rocznik powojennego wyżu demograficznego, czyli ludzie urodzeni w czterdziestym szóstym roku, właśnie obchodzą swoje osiemdziesiąte urodziny. W ciągu kilkunastu kolejnych lat cały powojenny wyż demograficzny przejdzie tę magiczną granicę osiemdziesięciu lat. I chyba wszyscy domyślamy się, co może się dziać. Bardzo szybko wzrośnie liczba osób niesamodzielnych wymagających opieki i my, rzeczywiście, jesteśmy na to, delikatnie mówiąc, słabo przygotowani.

Czy już doszliśmy do tego stanu, czy to się niebawem wydarzy, że młode pokolenia na te starsze nie zapracują?

Bez wątpienia mamy do czynienia z coraz większym problemem pod tym względem. Nie chcę mówić, że mamy już tę nierównowagę, bo jest pewien mechanizm automatyczny, który tę równowagę może przywracać, mianowicie wzrost wynagrodzeń. Jeśli potrafilibyśmy budować gospodarkę gwarantującą szybki wzrost wynagrodzeń, to z uwagi na fakt, że świadczenia emerytalne są waloryzowane w zupełnie inny sposób, przede wszystkim inflacją i w pewnej części tylko wzrostem wynagrodzeń – tę nierównowagę można przez pewien czas niwelować. Ale bez wątpienia dochodzimy do momentu, w którym nie da się już myśleć o możliwości utrzymania status quo. Trzeba zacząć myśleć o tym, jak w przyszłości należałoby zreorganizować system emerytalny, aby on funkcjonował, zapewniając środki na w miarę godne życia seniorów, nie obciążając przy tym nadmiernie nielicznych pracujących.

FOT. CC

CV

Piotr Szukalski
Demograf i gerontolog, doktor habilitowany, profesor Uniwersytetu Łódzkiego. Przedmiotem jego badań są przede wszystkim: starzenie się ludności, depopulacja, przestrzenne zróżnicowanie procesów ludnościowych.

Czy jest jakaś granica, po przekroczeniu której znajdziemy się na dnie? W sytuacji naprawdę bardzo złej z punktu widzenia demografii?

Odpowiem tak: jeśli obecny poziom dzietności utrzyma się kilkanaście lat, to za lat dwadzieścia zaczniemy do takiej katastrofalnej sytuacji dochodzić, bo wtedy drastycznie pogorszy się relacja pomiędzy liczbą wychodzących z rynku pracy i wchodzących na ten rynek. Proszę zwrócić uwagę, na razie, paradoksalnie, korzystamy z niskiej liczby urodzeń. Mniej płacimy pediatrom, mniej płaciliśmy ginekologom, położnikom, nie będziemy potrzebować tylu nauczycieli. Na razie zaoszczędzamy. Tylko problem polega na tym, że ci nieliczni, rodzący się w ostatnich latach w pewnym momencie dojdą do wieku aktywności zawodowej i nagle się okaże, że jest bardzo mało pracowników. Czas, kiedy ci nieliczni dojdą do wieku zaczynania kariery zawodowej, będzie momentem, o który pani pytała.

Jakieś optymistyczne spostrzeżenia na koniec, bardzo proszę!

Są dwie optymistyczne rzeczy, z których jedna zawarta jest w raporcie, a druga nie. Mówiłem już o tym: staliśmy się krajem napływu. To pokazuje, że świat dostrzega nasz niekwestionowany sukces gospodarczy. Nie zdajemy sobie sprawy, że tylko dwanaście, trzynaście procent ludności świata żyje w krajach zapewniających wyższy poziom produktu krajowego brutto w przeliczeniu na mieszkańca niż w Polsce. Więc to jest pozytywne. Natomiast druga pozytywna rzecz, której nie znajdzie pani w raporcie, to przemiany w zakresie umieralności. Przecież w dużym stopniu starzenie się ludności, naszego społeczeństwa jest wynikiem zwiększającego się prawdopodobieństwa dożywania przez ludzi wieku sześćdziesięciu, siedemdziesięciu, osiemdziesięciu, dziewięćdziesięciu lat.

To piękne! Tylko dobrze by było, żeby miał na tych ludzi kto pracować i kto się nimi opiekować.

Zdecydowanie tak!

Atrakcyjność migracyjna (średnia z lat 2021-2023)

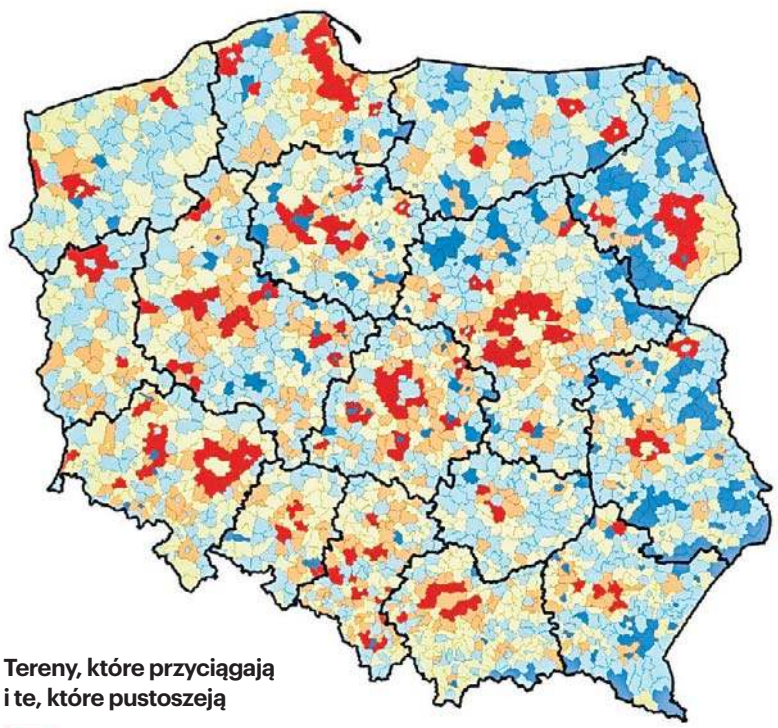

Tereny, które przyciągają i te, które pustoszeją

- 3,0 < (206) – zwiększające zaludnienie
- 1,0 – 3,0 (346) – zwiększające zaludnienie
- −1,0 – 1,0 (801)
- −3,0 – −1,0 (891) – zmniejszające zaludnienie
- < −3,0 (233) – zmniejszające zaludnienie

ŹRÓDŁO: RZĄDOWA RADA LUDNOŚCIOWA
DANE: GUS

eprasa.pl facf02ca37

NASZA AKCJA

„Pociąg Marzeń” już wiele razy zabrał dzieci na niezapomniane wakacje

Trwa kolejna edycja wyjątkowej akcji organizowanej przez Polska Press Grupę. „Pociąg Marzeń” po raz kolejny pomoże dzieciom, które na co dzień mierzą się z trudną życiową sytuacją. Zapraszamy Was do udziału w akcji

Karolina Wrońska

Pociąg Marzeń” to akcja społeczna, która od lat przynosi uśmiech na dziecięcych twarzach. Komu pomagamy? Podopiecznym wybranych fundacji i stowarzyszeń z całej Polski, dzieciom z rodzin w trudnej sytuacji, małym pacjentom szpitali i hospicjów. W ramach tej pomocy finansujemy im letnie wyjazdy, podczas których wiele z nich po raz pierwszy w życiu widzi polskie morze lub spędza czas w górach. Jednak nie tylko o wyjazdy tu chodzi. Finansujemy również sprzęt sportowy, rehabilitacyjny i wszelką niezbędną pomoc, której potrzebują.

FOT. MAT.PRAS.

W tym roku odbędzie się kolejny, cykliczny obóz sportowo-terapeutyczny dla dzieci i młodzieży

Nasz partner na Mazowszu

Naszym partnerem „Pociągu marzeń” jest Stowarzyszenie Pomocy Rodzinom z Wyszkowa. W tym roku organizuje ono w czasie wakacji kolejny, cykliczny obóz sportowo-terapeutyczny dla dzieci i młodzieży ze środowisk dysfunkcyjnych, zagrożonych patologią oraz wykluczeniem społecznym. Jego celem jest zapewnienie wsparcia poprzez zorganizowanie aktywnego, bezpiecznego wypoczynku.

W ubiegłym roku 90 młodych ludzi, podopiecznych Stowarzyszenia Pomocy Rodzinom z Wyszkowa, wybrało się na letni obóz sportowo-terapeutyczny. Były to dzieci i młodzież, których życie nie oszczędzało. Osoby z niepełnosprawnościami, osierocone, pochodzące z rodzin dysfunkcyjnych. Takie, dla których nawet najkrótszy wyjazd wakacyjny jest czymś nieosiągalnym.

Obóz odbył się w dniach 5-19 lipca w Świątkach na Warmii. Był również spływ kajakowy rzeką Łyną oraz nocny surwiwal.

Uczestnicy wyjazdu nie mogli narzekać na nudę. Spotkali się z siatkarzami, m.in. Pawłem Papke i Sebastianem Świderskim, uczestniczyli w zajęciach siatkarskich prowadzonych przez trenerów i zawodników AZS Olsztyn.

Na zajęciach tanecznych i teatralnych można było dać upust swoim emocjom. Na warsztat poszedł doskonale wszystkim znany „Mały Książę”. Nie zabrakło również muzyki – regionalny zespół folkowy dał przepiękny koncert.

Przez cały czas trwania obozu do dyspozycji uczestników był zespół psychologów, którzy odpowiadali na każdą potrzebę pomocy. Można było porozmawiać zarówno o troskach i smutkach, jak i o radościach. Były również zajęcia z dogoterapii z kudłatymi terapeutami o imionach: Enzo, Zuko i Duke.

Obóz był dla podopiecznych Fundacji odskocznią od codziennych zmartwień. Mogli choć na chwilę zaznać beztroski, śmiać się do rozpuku, spędzać czas w pogodnej i pełnej czułości atmosferze. A ich uśmiechy i szczęście to dla nas najwspanialsze podziękowanie i dowód na to, że akcja „Pociąg Marzeń” ma sens.

Dołącz swój wagonik

Jednak, aby nasz pociąg mógł wyruszyć w podróż po dziecięce marzenia, potrzebuje wagoników. A te przyłączane są do niego dzięki firmom, partnerom – darczyńcom decydującym się na udział w akcji. Wagoniki są cegiełką przekazywaną na rzecz pomocy dzieciom. Im jest ich więcej, tym więcej potrzebujących zostanie objętych akcją.

W ramach podziękowania, na wykupionym wagoniku umieszczamy logotyp firmy. Pociąg z doczepionymi wagonikami symbolicznie przejeżdża przez całą Polskę – pojawia się na łamach dzienników regionalnych oraz lokalnych serwisów internetowych należących do Polska Press Grupy, dzięki czemu jest widoczny dla milionów naszych czytelników. To nie tylko nasz ukłon w stronę darczyńców, ale także zachęta dla innych przedsiębiorców, by dołączali do naszego łańcucha dobra.

Pokaż, że Twój biznes ma wielkie serce i realny wpływ na lokalną społeczność!

Zadzwoń lub napisz – opowiem Ci, jak możesz do nas dołączyć:
Ewa Badowicz,
tel. 698 635 707,
ewa.badowicz@polskapress.pl

AKCJA CHARYTATYWNA
0011544302

eprasa.pl facf02ca37

MATERIAŁ INFORMACYJNY LPP

0511479482

Od Gdańska do Taszkentu. Polskie firmy eksportują już własny pomysł na biznes

Kiedyś polskie firmy podpatrywały, jak zagraniczne sieci budują sklepy, organizują logistykę i przyciągają klientów. Dziś role zaczynają się odwracać. To polskie marki przenoszą na inne rynki własne modele działania. Nie chodzi już tylko o eksport produktów, ale o cały sposób prowadzenia biznesu. Od formatu sklepu, przez sprzedaż online, po dopasowanie oferty do lokalnych potrzeb.

Polska gospodarka w nowej roli

Przez lata Polska przede wszystkim przyjmowała zagraniczny kapitał, technologie i modele prowadzenia biznesu. Dziś polskie firmy coraz częściej rozwijają za granicą rozwiązania wypracowane w kraju. Sprzedają produkty, ale także eksportują swoje modele biznesowe, technologie, logistykę i sposoby obsługi klientów.

Według Polskiego Instytutu Ekonomicznego od 1990 roku polski eksport wzrósł niemal 30-krotnie, a Polska znalazła się w gronie 20 największych eksporterów towarów na świecie.

Stoi za tym rosnąca zdolność naszych firm do budowania marek i skutecznej konkurencji na zagranicznych rynkach.

Polski handel odrobił lekcję z lat 90.

Najlepiej widać to w handlu. W latach 90. zagraniczne sieci wyznaczały standardy nowoczesnego retailu. Po trzech dekadach sytuacja wygląda inaczej.

Rodzime przedsiębiorstwa zbudowały własne marki, kanały sprzedaży i zaplecze logistyczne. Nauczyły się działać na konkurencyjnym rynku, na którym klienci zwracają uwagę jednocześnie na cenę, dostępność, wygodę zakupów i szybkość reakcji na trendy.

Od sprzedaży produktów do eksportu know-how

Polskie firmy eksportują dziś nie tylko produkty, ale także sprawdzone modele prowadzenia biznesu – od logistyki i sprzedaży internetowej po organizację sklepów i obsługę klientów.

Dobrym przykładem jest Sinsay. Marka działa na 26 rynkach stacjonarnych i w 19 krajach online. 2500. salon otwarto w ostatnich tygodniach w Taszkencie, a tylko w 2025 roku Sinsay uruchomił ponad 900 nowych sklepów, wchodząc także na kolejne rynki Europy i Kaukazu.

— Naszą siłą jest prosty, skalowalny model: szeroka oferta dla całej rodziny, dostępna cena oraz elastyczne dopasowanie formatu sklepu do lokalnego rynku — podkreśla Marcin Piechocki, wiceprezes zarządu LPP oraz dyrektor zarządzający Sinsay.

Międzynarodowa ekspansja wymaga modelu, który łączy powtarzalność z dopasowaniem do lokalnych rynków.

Od sklepu do ekosystemu zakupowego

Jednym z atutów polskiego modelu biznesowego jest skuteczne łączenie sprzedaży stacjonarnej i internetowej, dzięki czemu klienci mogą swobodnie korzystać z obu kanałów zakupowych.

— Kluczem jest połączenie sprzedaży stacjonarnej i internetowej w jeden ekosystem, w którym klient swobodnie przemieszcza się między kanałami. Przykładowo zamawia online z darmową dostawą do sklepu, a przy odbiorze często dokonuje dodatkowych zakupów — tłumaczy Przemysław Mitraszewski, pełnomocnik zarządu spółki LPP.

W tym modelu sklep jest jednocześnie miejscem zakupów, odbioru zamówień i kontaktu z marką, dzięki czemu sprzedaż stacjonarna i internetowa wzajemnie się uzupełniają.

Dlaczego polski model sprawdza się w Azji Centralnej?

Choć Gdańsk i Taszkent dzielą tysiące kilometrów, konsumenci na obu rynkach oczekują przede wszystkim wygodnych zakupów, szerokiej oferty i przystępnych cen.

Na tych uniwersalnych potrzebach opiera się model Sinsay. Marka oferuje szeroki asortyment dla całej rodziny, rozwija sklepy w miejscach dostępnych dla klientów. Dodatkowo, w krajach gdzie prowadzona jest sprzedaż internetowa, firma łączy atuty obu kanałów – stacjonarnego z cyfrowym.

Nie oznacza to kopiowania gotowych rozwiązań – oferta i sposób sprzedaży są dostosowywane do lokalnych warunków oraz potrzeb klientów.

Polska marka to wizytówka przedsiębiorczości

Ekspansja takich marek jak Sinsay zmienia sposób, w jaki można mówić o polskim biznesie. Polska z rynku przyciągającego zagraniczne firmy stała się krajem eksportującym własne marki i sprawdzone modele biznesowe.

Przedsiębiorcy nie ograniczają się do ambicji lokalnych ani regionalnych. Potrafią zbudować rozwiązanie w Polsce, przetestować je na wymagającym rynku, a następnie rozwijać w miejscach oddalonych o tysiące kilometrów.

REKLAMA

0511479540

eprasa.pl facf02ca37

WYWIAD

Krzysztof Zanussi: Wieczorem wydaje mi się, że znajduję sens. Rano trzeba wszystko zaczynać od nowa

– Dobrostan to bardzo dobre pojęcie przeniesione z weterynarii. Dotyczy kur, psów, koni i kotów. Oczywiście trochę z tego żartuję, ale dobrostan nie jest stanem docelowym. Gdybyśmy zafundowali Mickiewiczowi dobrostan, nie napisałby żadnego wiersza. Nie jest to więc coś, co powinniśmy ze szczególną czułością propagować – mówi reżyser Krzysztof Zanussi

Anita Czupryn

Zacznę od osobistej zbieżności. Wiem, że pański ojciec miał włoskie korzenie, a mnie kilka dni temu urodziła się wnuczka, której tata również jest Włochem. Czy dorastanie w domu, w którym spotykały się różne kultury, od początku dawało Panu szersze spojrzenie na świat?

Nie sądzę. To był raczej powszechnie przyjęty etos inteligencki, dość kosmopolityczny. Przy całym patriotyzmie inteligencji istniało jednak takie obowiązkowe otwarcie na świat. Nie odczuwałem go dlatego, że ojciec miał włoskie nazwisko, ale dlatego, że i ojciec, i matka patrzyli na świat szeroko, z zaciekawieniem, i przekazali mi tę ciekawość. Nie było w tym nic osobliwego.

Jak dzisiaj patrzy Pan na to, że był jedynakiem? Odczuwał to Pan jako samotność czy przywilej?

Nie miałem na to wpływu, więc muszę się z tym pogodzić. Jako przywileju nie traktuję tego w żadnym wypadku. To jednak ciężkie ograniczenie. Ale jest to fakt życia, nie ma więc co się nad nim zastanawiać. Trzeba przyjąć, że tak było.

Wraca Pan pamięcią do swojego pokoju w rodzinnym domu, do ulubionych miejsc?

O nie, proszę pani, mam dużo mocniejsze wspomnienia. Powstanie warszawskie, ucieczka, wyjazd z Warszawy – to rzeczy znacznie mocniej zarysowane w pamięci. Oczywiście swójpokój także pamiętam. To nawet nie był mój pokój, tylko pokój przechodni. Mieszkałem w nim bardzo długo, również po studiach, bo w PRL-u zdobycie mieszkania nie było takie proste.

Czego dziecko najszybciej uczy się podczas wojny?

Trudno powiedzieć, czy każde dziecko się tego uczy, ale przede wszystkim odpowiedzialności. Nic nie jest zabawą. Wszystko może mieć poważne konsekwencje. Kiedy ma się cztery lata, uczy się też rzeczy trudnych do zrozumienia. Rodzice mówią na przykład, że dobry chłopiec nie kłamie, ale gdyby Niemcy zapukali do drzwi i zapytali, czy ktoś jest w domu, masz powiedzieć, że nikogo nie ma, mimo że my jesteśmy. To, powiedzmy sobie, jest nieoczywista prawda.

Później cała rzeczywistość komunistyczna była podobnie schizofreniczna.

Oczywiście, nie ma wątpliwości.

Czy wtedy, jako kilkuletni chłopiec, zrozumiał Pan, że świat nie jest bezpieczny?

O, tak. Ale to chyba powszechne przekonanie wszystkiego, co żywe. Moje psy też to wiedzą, mimo że żyją w wielkim komforcie i bezpieczeństwie. Nawet kiedy śpią, strzygą uszami.

Niedawno, 17 czerwca, miał Pan urodziny. Z tej okazji co roku prosi Pan na swoim profilu na Facebooku, by ludzie zadawali Panu pytania. Po co Panu te cudze pytania?

To raczej pytanie, po co tym, którzy pytają, potrzebne są ich pytania. Ja jestem od odpowiadania. Każdy, kto wychodzi w pole publiczne, zaciąga pewne zobowiązanie wobec publiczności; jest na jej usługi. Albo niech się nie pakuje na afisz, bo po co. Traktuję to jako jedno z takich świadczeń. Dlatego nigdy nie pytam, czy warto było dokądś jechać. Nie wiem, może było warto, może nie. Jeździć trzeba i koniec. To tak zwany psi obowiązek. Staram się go spełniać, nawet kiedy jestem bardzo zmęczony i wiem, że niczego na tym materialnie nie zyskam. Nie mam też gwarancji, że spotkanie będzie ciekawe i że coś z niego wyniknie. Czasem rzeczywiście wynika coś bardzo interesującego, więc nieczęsto jestem zawiedziony. Bywa jednak, że spotkanie wydaje się jałowe, a po latach okazuje się, że była na nim jedna osoba, która z niego skorzystała.

Wydawało nam się, że mamy wspaniałą budowlę fizyki klasycznej, newtonowskiej, która wszystko wyjaśnia. Tak było do XIX wieku

KRZYSZTOF ZANUSSI
reżyser

I do dziś pamięta, że zmienił Pan jej życie.

Ano właśnie. Tego nie da się zmierzyć, trzeba więc przyjąć, że tak może być.

Czy w pytaniach, które zadają Panu ludzie, odbija się epoka? Widzi Pan, jak one z czasem się zmieniają?

Mnie najbardziej interesują pytania, które się nie zmieniają. Przy całej szalonej zmienności świata, w której uczestniczę, bardziej ciekawi mnie to, co trwałe, niż to, co nietrwałe. Ale to kwestia wyboru.

Można po pytaniach rozpoznać, czego ludziom dzisiaj najbardziej brakuje?

Oczywiście. Ludzie bardzo szukają jakiejś pewności, bo żyjemy w czasie, w którym wszyscy zaczęli we wszystko wątpić.

Są pytania, które bolą?

Pytania, które bolą... Wie pani, czasami boli głupota. To jest najbardziej przygnębiające. Nie mam natomiast sfery, w której byłbym szczególnie narażony na ludzką agresję. Czasem ją spotykam, ale jest ona raczej dolegliwością tych, którzy ją generują, niż moją. Nie jest to problem, na który bym się skarżył.

Zdarza się Panu uciekać przed jakimś pytaniem?

Kiedy widzę, że pytanie zostało pomyślane jako pułapka albo prowokacja, oczywiście go unikam, bo nie chcę być ofiarą cudzej manipulacji. W obiegu międzynarodowym spotykam się czasem z bardzo wyszukanymi manipulacjami. Ale uczyłem się ich przez całe życie, więc nie mogę powiedzieć, że mnie dziwią.

Zawsze potrafi je Pan rozpoznać?

Czasami tak, czasami nie.

Jedna z osób zapytała, jaka historia z planu filmowego do dziś Pana śmieszy. Przeformułuję to pytanie. Kiedy pracuje się z tak wielkimi tematami, jak wina, śmierć, sumienie czy ofiara, to czy na planie zdarzają się chwile czystej komedii?

Oczywiście. Podniosłość bardzo lubi swoje przeciwieństwo i jest to chyba zdrowe. Dopiero kiedy odbija się w swoim przeciwieństwie, nabiera pełnego, pięknego wyrazu. Dziesiątki razy widziałem, że od podniosłości do trywialności dzieli nas jeden krok. Kiedyś kręciliśmy scenę w Bazylice Świętego Piotra z udziałem kilkuset statystów i aktora grającego Piusa XII. Żeby był podobny do pierwowzoru, przyklejono mu sztuczny nos. Nos nagle się odkleił i nie można go było znaleźć, a nie mieliśmy duplikatu. Kilkadziesiąt osób na czworakach przemierzało więc Bazylikę Świętego Piotra, zaglądając pod wszystkie ławki. W końcu nos się znalazł. Trudno o większy kontrast między tym, co święte, a tym, co bardzo nieświęte.

Istnieje takie pytanie, na które próbuje Pan sobie odpowiedzieć przez całe życie?

Całe życie zastanawiam się, czy świat jest wyrazem chaosu i bezsensu, czy też w świecie i w życiu ukryty jest sens. I tego sensu szukam. Ale nawet jeżeli wieczorem wydaje mi się, że go znajduję, rano trzeba wszystko zaczynać od nowa.

Ludzie nazywają Pana autorytetem. Jak Pan traktuje to słowo?

Jako zobowiązanie. Strasznie się pilnuję, żeby mówić jak najmniej głupstw, bo autorytet, jeżeli coś powie, może też wyrządzić szkodę. Jedną z zasad dzisiejszej komunikacji społecznej jest to, że odpowiadamy nie tylko za komunikat, który nadaliśmy, ale również za to, jak został odczytany. Jeżeli zostaliśmy źle zrozumiani, to znaczy, że źle porozumieliśmy się z ludźmi, i odpowiedzialność spada przede wszystkim na nas. Nie mamy już alibi, którym często posługują się ludzie starej daty: „Wyraziłem to trafnie, precyzyjnie i prawdziwie". No i co z tego, skoro ludzie zrozumieli to opacznie? W takim razie nie trzeba było tego mówić.

Dlaczego potrzebujemy autorytetów?

Dlatego, że świat w swojej różnorodności jest nie do ogarnięcia. Musimy móc podeprzeć się kimś, czyjąś myślą albo postawą, którą uznamy za sprawdzoną. Nie jesteśmy w stanie sprawdzić wszystkiego.

Czy nie mylimy jednak autorytetu z nieskazitelnością? Kiedy wybucha skandal, upada autorytet czy nasze wyobrażenie o nim?

Wszystko zależy od tego, jak budujemy pojęcie autorytetu. Autorytetem nie jest się w ogóle, tylko w określonej sprawie. Jeżeli właśnie w tej sprawie ktoś okazał się ignorantem, a my braliśmy go za mędrca, to oczywiście ponosimy wielką stratę. Ale zdarza się to rzadko. Głupców rozpoznajemy dość łatwo. John Stuart Mill powiedział, że lepiej być niezadowolonym Sokratesem niż zadowolonym głupcem. Gdzieś to sobie zapisałem.

Pan z kolei kiedyś powiedział, że jazda konna dała Panu możliwość obcowania z ludźmi, ale także że

eprasa.pl facf02ca37

od koni uczył się Pan zachowań.
Od koni można się dużo nauczyć.

Czego Pana nauczyły? Co koń najszybciej rozpoznaje w człowieku?
Koń przede wszystkim przystępuje do rozgrywki o to, kto tutaj rządzi i kogo nie trzeba słuchać. Albo jeździec słucha konia, albo koń jeźdźca. Można też wypracować kompromisy i bywają one bardzo zdrowe. Czasem jednak dochodzi do pełnej, otwartej walki. Wygląda to bardzo niedobrze, ale niekiedy jest nieodzowne. Są konie, które stanowczo nie chcą się podporządkować.

Reżyser, który zna konie, inaczej prowadzi aktorów?
Proszę zapytać aktorów, którzy mają do wyboru reżyserów jeżdżących i niejeżdżących.

A jak Pan to widzi?
To trochę façon de parler, pewna maniera mówienia, że uczymy się od psów, kotów czy innych zwierząt tego, czego nie nauczyliśmy się od dzieci na podwórku albo w przedszkolu. Nigdy nie byłem w przedszkolu, więc nie mam doświadczeń przedszkolnych. Uczymy się po prostu z naszych doświadczeń. Jeżeli ich nie mamy, wielu rzeczy nie wiemy.

Zanim został Pan reżyserem, studiował fizykę i filozofię. W Pana filmie „Iluminacja" wystąpili fizycy, z którymi po latach rozmawiałam, pisząc książkę. Jej mottem stały się słowa profesora Iwa Białynickiego-Biruli wypowiedziane w tym filmie. Profesor opowiadał mi, że sam sformułował swoją wypowiedź.
Poprosiłem go o wypowiedź, ale nie podsunąłem mu sformułowania. To on je zaproponował. Być może do dzisiaj nie wie, że cenzura była tym zdaniem dość zaniepokojona. Uznano, że narusza ono podstawy marksizmu. Uratowało je pośrednie odwołanie się do Infelda, bo cenzorzy nie chcieli wchodzić w taką dyskusję.

Ponieważ Leopold Infeld pracował z Einsteinem?
A poza tym był przez lewicę polityczną traktowany jako jeden ze sprzymierzeńców. Zresztą Stalin zdecydował, że ideologia nie może wkraczać do fizyki, bo bomba atomowa musi być skuteczna. Na ideologiczne spory nie można więc było sobie pozwolić.

W filmie Iwo Białynicki-Birula mówi: „Przeszłość i teraźniejszość są oświetlone, a przyszłość tonie w ciemności, choć może są ludzie, którzy potrafią dostrzec jej zarysy". Czy wierzy Pan dzisiaj, że przyszłość można oświetlić, czy też musimy nauczyć się żyć w ciemności?
Nie. Naszym losem jest ciemność. Tak zostaliśmy wyposażeni. Mamy takie, a nie inne zmysły, i taką, a nie inną percepcję czasu, mimo że wiemy, iż czas jest zapętlony i dla innego rodzaju świadomości może wyglądać inaczej. Cały szturm fizyki kwantowej narusza podstawy tak zwanego zdrowego rozsądku. To wspaniałe, że żyjemy w czasach, w których ta rewolucja się dokonuje i uczymy się, że nic nie wiemy. Wydawało nam się, że mamy wspaniałą budowlę fizyki klasycznej, newtonowskiej, która wszystko wyjaśnia. Tak było do XIX wieku. A kiedy byliśmy już niemal na szczycie, okazało się, że istnieją wyższe szczyty.

FOT. ALEKSY WITWICKI

Krzysztof Zanussi: Nic nie jest zabawą. Wszystko może mieć poważne konsekwencje

Co dały Panu studia fizyczne? Przekonały, że świat ma sens?
Trudno powiedzieć. Zacząłem studia, mając formalnie piętnaście lat, więc była to moja wielka szkoła życia. Spotkałem świetnych ludzi, również tych, których pani wymieniała. Otaczała mnie wielka ciekawość świata. Utrwaliłem wtedy przekonanie, że ciekawość jest częścią ludzkiej natury i trzeba ją w sobie hodować oraz rozwijać. Kto straci ciekawość, ten właściwie straci motywację do życia i działania.

Bez fizyki byłby Pan innym reżyserem?
Myślę, że może w ogóle nie byłbym reżyserem. Nie wiem, kim bym był.

Bohater „Iluminacji" chce dotknąć prawdy, ale życie konfrontuje go z ciałem, śmiercią, przypadkiem i ludzkim ograniczeniem. Już wtedy wiedział Pan, że poznanie naukowe nie wystarcza?
Tak. Myślę, że tę wiedzę wyniosłem jeszcze z domu rodzinnego i ze szkoły, w której spotkałem ciekawych, wspaniałych ludzi. Były to wprawdzie najgorsze czasy dla szkoły, czysta komuna, ale wśród nauczycieli trafiali się ludzie niezwykli i bardzo wiele im zawdzięczam. Była pani Zambrzycka, nauczycielka fizyki, która zasiała we mnie to zainteresowanie. Była pani Śliwińska, przedwojenna działaczka Akcji Katolickiej, po wojnie więziona. Od niej otrzymałem wiele praktycznej mądrości dotyczącej tego, jak postępować, kiedy człowiek nie zgadza się z systemem, w którym żyje.

Jak wtedy postępować?
Odwoływać się do roztropności. Jako cnota nie jest ona często wymieniana, a należy postępować właśnie roztropnie.

Osobiście uważam, że istnieją ludzie, którzy dostrzegają zarysy jutra, bo mają wizję, dążą do niej i potrafią ją urzeczywistnić. Jak Pan myśli, kim są najczęściej: artystami, naukowcami czy ludźmi wiary?
Istnieją różne ścieżki duchowego rozwoju i wszystkie je pani wymieniła. Każda może do tego prowadzić. Ale jednych prowadzi, innych nie. Jednych myślenie sprowadza na manowce. Jednych sztuka prowadzi do upadku, a innych do najwyższych wzlotów. Nie ma reguły. O rezultacie nie decyduje narzędzie, lecz sposób jego użycia. A to wszystko są narzędzia.

Czym jest sztuka dla Pana?
Na pewno wiele rzeczy w życiu mi rozświetliła, ale wiele nadal pozostaje tajemnicą, czyli mrokiem.

Czy człowiek może naprawdę dojrzeć, jeżeli niczego nie złożył w ofierze?
Ofiary składamy codziennie, z każdej godziny naszego życia. Nie mam natomiast wątpliwości, że w życiu można zajść bardzo daleko, ale można je też strwonić czy roztrwonić. Za mało się o tym dzisiaj mówi, a szkoda, bo to bardzo ważny element naszej strategii: co robimy z własnym życiem? Często mówię młodym ludziom: nikt wam nie zabroni zmarnować życia. Pomyślcie o tym, bo nie ma narzędzia, które mogłoby wam tego zakazać. Nikt nikomu nie zabroni, żeby sam siebie zniszczył. Trzeba więc bardzo uważać na to, co się robi. Dlatego, trochę przez przekorę, powtarzam każdemu, komu mogę: bałamutne jest powiedzenie, że należy uczyć się na własnych błędach. Trzeba uczyć się na błędach cudzych. Własnych nie wolno popełniać, bo za każdy błąd drogo się płaci. Często snuję obraz przypominający życie i jest to albo spacer po wystrzyżonym trawniku, albo droga przez dżunglę. W pierwszym obrazie wszystko wolno, w drugim trzeba pilnować każdego kroku.

Pytam o ofiarę z powodu pańskiego najnowszego filmu, „Całopalenie". Sam tytuł przywołuje ofiarę spalaną w całości, oddanie bez reszty. Co przyciągnęło Pana do tego tematu?
Kilka historii, które zasłyszałem albo o które się otarłem. Wydało mi się, że niosą pewien sens i warto go utrwalić. Są to historie prawdziwe, ale nie mogę wskazywać palcem, ponieważ dotyczą ludzi posiadających własne biografie i nazwiska. Pewne elementy tego, co pokazuję w filmie, rzeczywiście im się przydarzyły.

eprasa.pl facf02ca37

WYWIAD

Dlaczego „Całopalenie" powstaje właśnie teraz?
Człowiek w tym zawodzie nie robi tego, co chce, tylko to, co może. Akurat tak się złożyło, że mogłem teraz nakręcić ten film. Powstała konstelacja, w której ktoś mi na to pozwolił. Myślę, że kilka lat temu także mógłbym zrobić podobny film. Być może trafi on w swój czas, a może kompletnie nie trafi, tak jak nie trafiło kilka moich filmów. Nie jestem tym szczególnie przybity. Kino ma dzisiaj dłuższe życie i spotkanie filmu z publicznością może nastąpić później. Być może takie filmy jak „Liczba doskonała" czy inne moje ostatnie obrazy były dość trafne, tylko nie spotkały się jeszcze ze swoim czasem. W niektórych miejscach wywoływały bardzo silny odzew. Widzę więc, że nie jest to wyłącznie mój wymysł, lecz pewien obiektywny fakt.

Może Krzysztof Zanussi jako reżyser zostanie znów na nowo odkryty i odczytany.
Wolałbym zostać odkryty za życia, ale jeżeli stanie się to później, też dobrze. A może nie stanie się nigdy.

Gdzie kończy się ofiara, a zaczyna samozniszczenie?
Poznajemy je po owocach. Jeżeli z ofiary wynika dobro, to z samozniszczenia wynika zło, czyli właśnie to, co w samej nazwie jest zniszczeniem.

Podczas zdjęć do filmu w Toruniu miał Pan wypadek i złamał rękę.
Mało tego, głowa też została złamana. To gorsze. Ileż powiedzonek mi przez to wypadło! Nie mogę mówić, że coś mi się w głowie nie mieści. Nie mogę mówić, że głowa mi pęka ani że mam coś z tyłu głowy. Bo to wszystko dzieje się aktualnie. Głowa naprawdę pękła. I z tyłu głowy coś jest.

Czyli kino nadal żąda ofiar?
Nie, nie, tak bym nie powiedział. Każde działanie pociąga za sobą pewną samoofiarę. To cecha wszelkich działań i zderzeń, które są napędem rozwoju.

Jak opowiadać dzisiaj o „Całopaleniu", skoro żyjemy w świecie, w którym wszystko przelicza się na zysk, a najważniejszymi wartościami stają się komfort i psychologiczny dobrostan?
Dobrostan to bardzo dobre pojęcie przeniesione z weterynarii. Dotyczy kur, psów, koni i kotów. Oczywiście trochę z tego żartuję, ale dobrostan nie jest stanem docelowym. Gdybyśmy zafundowali Mickiewiczowi dobrostan, nie napisałby żadnego wiersza. Nie jest to więc coś, co powinniśmy ze szczególną czułością propagować. Pamiętajmy też, że to, o czym pani mówi, stanowi tylko część dzisiejszej rzeczywistości. Może najbardziej głośną, ale niekoniecznie najważniejszą. Jeżeli ludzkość przetrwa i będzie jeszcze rozkwitała, to nie dzięki tym myślom, bo one są bałamutne. To bałamuctwo jest dzisiaj dość powszechne. Skoro kilkadziesiąt procent osób szuka płatnej pomocy psychologa, oznacza to, że ludzie nie dają sobie sami ze sobą rady, czyli przyjęli jakieś złe zasady.

Czego chce współczesny człowiek, kiedy deklaruje, że pragnie dobra, ale nie chce ponosić ofiary?
Chce także miłości bez zaangażowania. Bez uznania, że w miłości trzeba dawać, zamiast oczekiwać, że się coś dostanie.

Jak można się tego nauczyć?
Polecam pracę od dziecka.

„Całopalenie" jest dla Pana filmem religijnym, egzystencjalnym czy politycznym?
Politycznym chyba najmniej, bo polityką najmniej się ekscytuję. Interesują mnie ideologie, ale sama polityka – mniej. Religijnym jest w jakiś sposób oczywiście, ponieważ religia dotyczy pytań podstawowych. Każdy, kto te pytania zadaje, w pewnym sensie zbliża się do religii. To, co powiedział Iwo Białynicki-Birula, również jest właściwie twierdzeniem wchodzącym w zakres religii, choć na pozór tak nie wygląda. Nie chciałbym jednak nadawać swojemu filmowi żadnej etykiety. Zostawiam to tym, którzy będą go oglądali.

Film może być aktem wiary?
Nie, może być świadectwem wiary. Myślę jednak, że każda opowieść o życiu, w której kryje się nadzieja na sens, wchodzi już w obszar przekonań religijnych. Pytanie, czy życie ma sens, czy jest absurdem, oznacza wybór między różnymi, wzajemnie wykluczającymi się zapatrywaniami.

Pan szuka tego sensu.
Oczywiście.

Gdzie?
Rozglądam się po całym życiu. Spotykam dziesiątki ludzi, przypadków i historii. Wybieram z nich te, które w moim przekonaniu są nośne, to znaczy mówią coś światu. Jeżeli ludzie je poznają, może staną się odrobinę mądrzejsi.

Cierpienie może nieść sens?
Mam nadzieję, że tak. Jest to czysto chrześcijańska koncepcja.

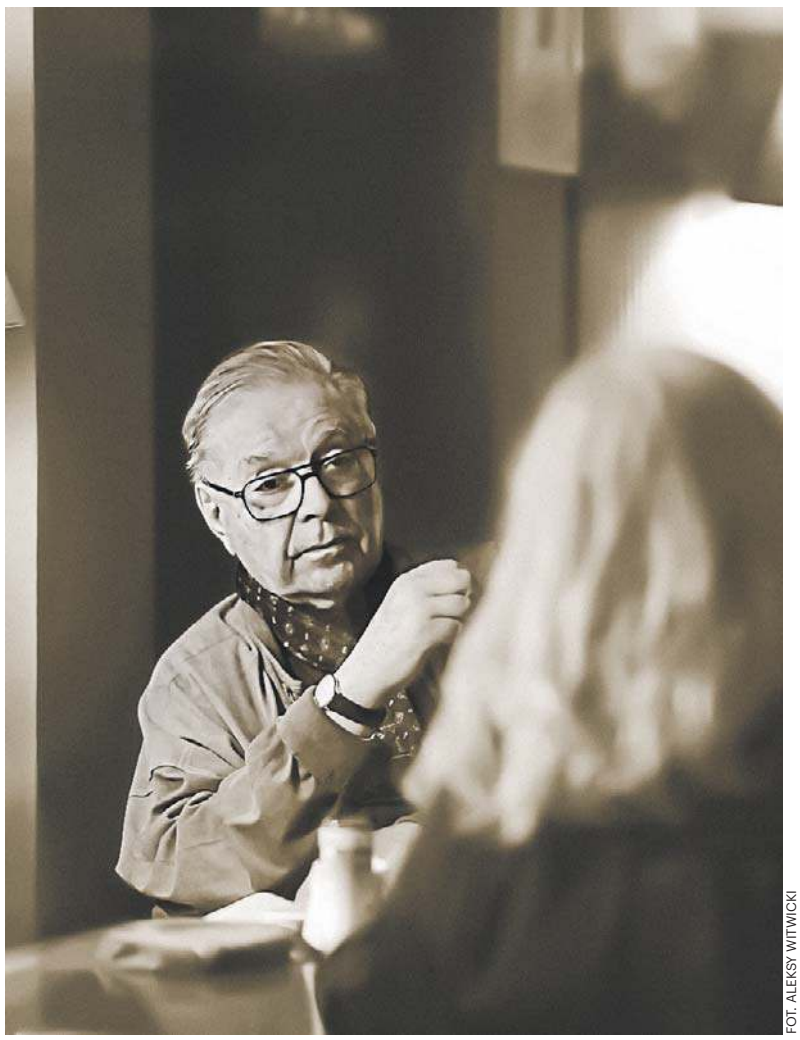
FOT. ALEKSY WITWICKI

Krzysztof Zanussi: Jeżeli z ofiary wynika dobro, to z samozniszczenia wynika zło

Tymczasem robimy wszystko, żeby cierpienie usunąć z życia.
To nie jest takie proste, bo cierpienia nie należy szukać. To byłoby cierpiętnictwo. Nie da się jednak całkowicie usunąć zła, które je powoduje. Ciągle choruje niewinne dziecko, przychodzi tsunami, dzieje się coś, co urąga wszelkiej sprawiedliwości. Trzeba wiary, żeby powiedzieć: „To musi mieć sens, chociaż go nie rozumiemy". Przede wszystkim należy jednak z cierpieniem walczyć tak jak ze złem. To nas wyróżnia. Gdybyśmy znajdowali się w kręgu buddyjskim, mówilibyśmy o cierpieniu innym językiem. Chrześcijaństwo wpisało je w naturalny plan życia. Pojawia się wszędzie i mamy z nim walczyć. Ale kiedy okaże się niezwalczone, musimy je także znosić i próbować nadać mu sens. Niektórym się to udało.

Zauważyłam, że powraca Pan do myśli, że współczesna psychologia bywa surogatem religii. Czy terapia może zastąpić sumienie?
W moim przekonaniu jest ona w ogóle niekompatybilna z sumieniem. Sumienie jest pojęciem pochodzącym z innego porządku myślowego. Wchodzimy jednak w wielką polemikę, której nie chciałbym teraz podejmować. Robię to za pomocą swoich opowieści, ale nie chciałbym tego robić za pomocą sądów. Dość intensywnie studiowałem psychologię. Podczas studiów filozoficznych stawiano ją bardzo wysoko. Myślę, że wyniosłem stamtąd pewien zasób przekonań, które często są wobec psychologii krytyczne.

Zgodziłby się Pan ze stwierdzeniem, że współczesna psychologia bywa spowiedzią bez winy?
Myślę, że niektórym ludziom zastępuje religię, choć nie jest do tego uprawniona. Nie chciałbym jednak uogólniać. Psychologia ma tyle odcieni, że znajdują się w niej zarówno rzeczy najgłębiej wartościowe, jak i dużo kompletnego śmiecia.

Co oznacza dzisiejsza sekularyzacja? Zanik sacrum, a może przeniesienie go w inne obszary, jak sukces, zdrowie, technologia?
Przede wszystkim w rozgłos. Sukces wydaje się dzisiaj czymś niemal świętym. Ale są to pomylone pojęcia. Nie ma co się nad tym zastanawiać, bo to wszystko pomylenie z poplątaniem.

Pytanie, czy życie ma sens, czy jest absurdem, oznacza wybór między różnymi, wzajemnie wykluczającymi się zapatrywaniami

KRZYSZTOF ZANUSSI
reżyser

Czyli człowiek nie potrafi żyć bez sacrum i zawsze coś sobie uświęci?
Powiedzmy. Ale dobrze jest uświęcać rzeczy rzeczywiście święte, a nie jakieś starotestamentowe złote figury. Wolałbym ich nie uświęcać.

Czego jest dzisiaj w Panu więcej: nadziei, smutku czy wdzięczności?
Nastroje zmieniają się z godziny na godzinę, więc nie mogę tego pani określić.

A co pozostaje niezmienne?
To, że nie tracę nadziei. Nie tracę wiary w pewien sens moich działań. Nie tracę też miłości, która jest bardzo ważną częścią mojego życia: miłości rodzinnej i małżeńskiej. To wszystko do tej pory ocalało. Mam nadzieję, że nie stracę tego do końca moich dni, których kres nie jest już taki odległy.

Co Pana wzrusza?
Każdy akt piękna. Znalazłem niedawno zdanie, chyba Nietzschego, że piękno pozwala nam zachować nadzieję na szczęście.

Mam ostatnie pytanie. Trochę boję się je zadać...
Dobrze, zaraz się obrażę (śmiech).

Nie obrazi się Pan. Pytanie brzmi: jak żyć?
No, to rzeczywiście jest pytanie (śmiech). Gdybym to wiedział, rozsyłałbym wszystkim esemesy. Myślę, że zajmowałbym się tym od rana do nocy i niczym więcej.

Ale przecież trochę Pan już wie.
Za każdym razem przymierzam się do nowej sytuacji i znowu myślę, jak z niej wybrnąć. I to jest właśnie pytanie: jak żyć? Zabawne, że tego pytania, które podobno należy do tradycji słowiańskiej, nie da się naprawdę przetłumaczyć na angielski. Zetknąłem się z tym, bo często pojawia się ono w literaturze rosyjskiej. W serialu według Gorkiego, o Klimie Samginie, także padało. Widziałem angielskie napisy i oczywiście nie udało się go przełożyć.

Jak je przetłumaczono?
How should I live? Ale to znaczy: „Jak powinienem żyć?". A to nie jest to samo, co „Jak żyć?". Angielskie zdanie pyta raczej, jak postępować, w bardziej dosłownym wymiarze. Angielski nie lubi takich nieokreślonych uogólnień, rosyjski za nimi przepada.

eprasa.pl facf02ca37

ANIMACJE

Jak się tworzy sztuczną krew?

– Na studiach się wyszalałam na ćwiczeniach operatorskich, gdzie mieliśmy scenę tortur, np. wyrywanie paznokci, – opowiada absolwentka, a obecnie wykładowczyni w PWSFTviT w Łodzi i jurorka tegorocznego Animatora

Maciej Szymkowiak

Zasiadanie w jury filmowym brzmi, jak łatwa i przyjemna praca. Tylko że musisz obejrzeć określoną liczbę filmów. W jakim czasie?

Trzeba obejrzeć ponad 45 filmów krótkometrażowych podzielonych na pięć bloków programowych. Każdy z nich różni się tematyką, techniką wykonania, długością, intensywnością czy językiem filmowym. Największym wyzwaniem jest utrzymanie koncentracji i umiejętność ciągłego przełączania się między zupełnie odmiennymi światami. Później trzeba wybrać najlepszy film spośród dzieł, których często nie da się ze sobą bezpośrednio porównać. W sztuce nie istnieją przecież jednoznaczne kryteria oceny, a mimo to trzeba podjąć decyzję o przyznaniu nagrody.

Jak długo powstaje taki film? Wydaje się, że jest to znacznie bardziej pracochłonne niż animacja komputerowa.

FOT. WALDEMAR WYLEGALSKI

Julia Orlik, reżyserka filmów animowanych i jurorka podczas tegorocznego M.F.F.A, „Animator"

To zależy. Najbardziej czasochłonnym etapem nie jest sama animacja, lecz przygotowania: budowa lalek, scenografii i wszystkich elementów potrzebnych do zdjęć. Sama animacja przebiega już stosunkowo sprawnie, o ile nie mamy bardzo skomplikowanych scen z wieloma postaciami. Istnieje też wiele sposobów upraszczania pracy. Na przykład pełne animowanie chodzącej postaci jest niezwykle czasochłonne, dlatego często stosuje się skróty inscenizacyjne: pokazuje się bohatera tylko od pasa w górę lub wykorzystuje inne rozwiązania, które oszczędzają czas. Takich praktycznych wskazówek studenci uczą się właśnie podczas studiów.

Animacja nadal kojarzy się głównie z filmami dla dzieci?

Zdecydowanie tak. Bardzo często spotykam się z takim przekonaniem. Dotyczy to przede wszystkim osób, które oglądają filmy okazjonalnie i nie interesują się szerzej kinem. Tymczasem istnieje ogromna liczba festiwali prezentujących krótkie animacje dla dorosłych, poruszające bardzo poważne tematy – żałobę, stratę, chorobę czy relacje międzyludzkie. To nadal dość niszowa część kina, ale nie uważam tego za problem. Właśnie dzięki temu animacja autorska zachowuje swój artystyczny charakter i nie podlega aż tak silnej komercjalizacji.

Interesujesz się efektami specjalnymi, zwłaszcza charakteryzacją gore, tzw. krwawymi.

Interesowała mnie anatomia człowieka, sposób zachowania tkanek czy wygląd ran. Tworzenie takich efektów wymagało pogłębiania wiedzy biologicznej, co później okazało się przydatne również podczas budowania lalek do animacji. Najbardziej podobał mi się jednak kontakt z materiałem. Zarówno w stop motion, jak i przy efektach specjalnych pracuje się rękami – można coś modelować, eksperymentować, ubrudzić się sztuczną krwią. Taki fizyczny kontakt z materią daje mi ogromną satysfakcję.

Jak powstaje sztuczna krew?

Najczęściej korzystałam z gotowych produktów przeznaczonych do charakteryzacji – zdarzało się nawet, że miały karmelowy smak. Można ją jednak przygotować samodzielnie, wykorzystując między innymi glicerynę, wazelinę czy barwniki spożywcze. Wszystko zależy od efektu, jaki chcemy uzyskać. Innej konsystencji wymaga krew tętnicza, innej żylna. Czasem potrzebna jest bardzo rzadka ciecz imitująca tryskającą krew, a czasem bardzo gęsta masa, która zachowa swój kształt podczas animacji. Każdy efekt wymaga innych proporcji składników.

REKLAMA 0011553698

eprasa.pl facf02ca37

MOIM ZDANIEM

LESZEK WALIGÓRA
redaktor naczelny „Głosu Wielkopolskiego"

Paragony grozy? Poznań: Potrzymaj mi piwo

Jeśli cierpisz na niskie ciśnienie, potrzebujesz silnego pobudzenia, kawa nie działa, energetyki usypiają - w te wakacje przyjedź do Poznania. Poza fantastycznym miastem - zwłaszcza kulinarnie - zafundujemy ci kurację wstrząsową. I to zanim dotrzesz do defibrylatora. Tylko uprzedzam: tanio nie będzie.

Pacjent poznańskiego szpitala zgłosił się do „Głosu Wielkopolskiego". Nie, nie z informacją o błędach lekarskich, nie przeraziły go też zarobki lekarzy. Przeraził rachunek. Dla ludzi zarabiających o wiele więcej, byłby to powód dla szoku. Celebryci w ubiegłym roku szokowali się rachunkami „za rybkę" nad morzem po kilkaset złotych. Tu pacjent szokuje bardziej: 1350 zł za parking. Bo pojechał samochodem na SOR, tam - być może - uratowano mu życie. Ale rachunek mógł przyprawić o zawał. Coś bardzo poszło nie tak.

„Oddałem niemal połowę pensji za to, że walczyłem o życie w szpitalu" - napisał w wiadomości do „Głosu Wielkopolskiego".

Temat natychmiast podchwyciły inne media. Bo to temat nie tylko na sezon ogórkowy, a kilkaset komentarzy jakie zebrał pierwszy artykuł na ten temat, wskazywało - że ważny. Jedne redakcje poprosiły o telefon do obrabowanego w biały dzień pacjenta, inne zwyczajnie przepisały. Co zadziwiające: na pacjenta nie wylał się nawet szturm hejtu pożytecznych idiotów i rosyjskich trolli. A mógł, bo miał ukraińskobrzmiące imię. No, ale 20 zł za godzinę parkowania, nawet w Poznaniu, słynącym z najdroższej ponoć strefy parkowania w kraju - to sporo. Zwłaszcza że dla niektórych rachunek za 3 dni, to połowa pensji. Ze szpitala wiemy już, że skoro sytuacja była szczególna, to reklamacja pana pacjenta raczej zostanie pozytywnie rozpatrzona.

A ilu pacjentów zapłaciło rachunki bez szemrania? A być może ktoś zmarł w szpitalu i rachunek za jego auto jest już astronomiczny? I czy naprawdę pacjent musi pisać reklamacje, bo administrator szpitala czy też parkingu nie przewidział, że do szpitala i na SOR przyjeżdża się po ratunek, a nie, żeby uchronić auto przed porysowaniem przez wandali?

Wiem: parking przed szpitalem ma odstraszać cenami, żeby nie stawać się parkingiem buforowym. Ma odstraszać, żeby tam było miejsce, uwaga, DLA PACJENTÓW! Nie dla studentów medycyny - choć też się skarżą. Ale o ile studenci czy pracownicy szpitala mogą przewidzieć swój przyjazd do miejsca pracy, zwyczajnie sobie go zaplanować, to pacjenci już nie. W ich przypadku auto to nie fanaberia, to nie wygodnictwo. A często albo jedyne rozwiązanie, albo najszybciej dostępne, albo pierwsze, które przyszło do głowy. Kogoś, komu się krew leje z głowy, albo ma stan przedzawałowy trudno oskarżać o to, że nie przeprowadził analizy dojazdu środkami komunikacji miejskiej, albo cierpliwie nie zaczekał na taksówkę. No tak, mógł jeszcze wybrać rower. Pewnie miejski, co (w Poznaniu takiego nie ma, według władzy nie zarabiał)?

Teren wokół szpitala nie jest prywatny. Jest zarządzany przez prywatną spółkę - i dobrze, bo trudno, żeby szpital specjalizował się we wszystkim, również w zarządzaniu placami manewrowymi. Ale to szpital ustala stawki. Być może są one dobre dla lekarzy, jeśli zarabiają milion przed południem (nie, na poznańskim SOR akurat stawek z Warszawy-Południe nie ma).

Ale na litość boską, trzeba zainteresowania mediów, trzeba afery, żeby coś zmienić? Skoro trzeba, to zmieńcie, proszę Państwa. Piłka po Waszej stronie. Jakie będą zasady płacenia za parkingi dla pacjentów przed tylko szpitalami?

Czy paragony mają zastąpić sole trzeźwiące? Taka polskie odkrycie medyczne.

LESZEK.WALIGORA@POLSKAPRESS.PL

MOIM ZDANIEM

AGATON KOZIŃSKI
zastępca redaktor naczelnej „Polski"

Niekończące się wojny. O sztuce odróżniania koniecznego konfliktu od zwykłego hałasu

Imponujące dane przytoczył w prestiżowym miesięczniku „Foreign Affairs" Carter Malkasian, specjalista od strategii wojskowej, który przez wiele lat pracował jako cywilny doradca amerykańskich sił zbrojnych w Afganistanie. Trwająca 20 lat wojna w Afganistanie kosztowała USA równy bilion dolarów. Wzięło w niej udział 775 tys. Amerykanów. 2400 z nich zginęło, a prawie 21 tys. z nich zostało rannych. „Wszystko po to, żeby bronić się przed zagrożeniem, które okazało się przeszacowane" – pisze Carter Malkasian.

Wojna w Afganistanie stała się tym, co w USA nazywa się „niekończącymi się wojnami". Innym tego typu konfliktem była druga wojna w Zatoce z 2003 r. – gdy też Amerykanie szybko odnieśli sukces, a potem przez lata tkwili w Bagdadzie, próbując ustabilizować tę sytuację. Gdy Trump szedł po władzę w 2024 r., obiecywał skończyć z tego typu wiecznymi wojnami – ale sam teraz ugrzązł w Iranie. Może jeszcze nie w takiej skali jak jego poprzednicy w Iraku i Afganistanie, ale już widać, że szybka operacja specjalna w cieśninie Ormuz to nie jest. I będzie miał z tego problemy polityczne. Większe, niż przypuszcza.

*

Wydawało się, że to będzie kilkuodcinkowy serial. Ale potem odcinków zaczęło przybywać, teraz to już wygląda na operę mydlaną. Kryzys w PiS. Mamy jego najnowszą odsłonę: zakaz tworzenia stowarzyszeń wewnątrz partii. Zakaz skierowany jest przede wszystkim w kierunku Mateusza Morawieckiego, który swojego projektu „Rozwój Plus" zawieszać jednak nie zamierza. Termin? 23 lipca. Jeśli były premier do tej pory nie zmieni zdania, to z PiS wyleci. Chyba że kierownictwo PiS zmieni do tej pory zdanie.

Nawet jeśli Morawiecki straci znaczek, to trudno zakładać, by ta niekończąca się wojna między nim a resztą się skończyła. Bo on sam nie ustąpi, a „maślarze" będą robić wszystko, by mu się jednak nie udało. Tort do podziału jest mały, mocno okrojony przez dwie Konfederacje, a przecież PiS jest przyzwyczajony do poparcia, które wymierza się liczbą z trójką z przodu. Szybko (jeśli w ogóle) tej liczby nie zobaczy. Pytanie, jak szybko się z tą myślą oswoi, na razie pozostaje otwarte.

*

Swoje wojenki polityczne odpala też Wołodymyr Zełenski. Najpierw z Polską o gloryfikację UPA. Teraz z własnym społeczeństwem, wyrzucając z rządu ultra popularnego ministra obrony Mychajłę Fedorowa. Planu w tym nie widać, raczej kompulsywne zachowania polityka, który czuje się zagrożony, ale nie ma pomysłu, w jaki sposób wybrnąć z matni. Zełenski odruchowo otwiera kolejne polityczne fronty, na których będzie teraz toczył kolejne polityczne starcia. Kolejne niekończące się wojny – niekończące się przynajmniej do końca jego kadencji.

Oczywiście, wojen w polityce się nie da uniknąć. Najwyższe pozycje zajmują tylko ci, którzy umieją o te pozycje walczyć – bez walki decydentami zostaje się tylko w filmach, albo w „Państwie" Platona, w którym wybitny filozof roił, by najważniejsze funkcje powierzać najmądrzejszym. Chodzi o to, by rozpoczynać starcia, które mają rzeczywisty sens. „Strategia bez taktyki to najdłuższa droga do zwycięstwa. Taktyka bez strategii to hałas przed klęską" – pisał Sun Tzu. Wiecznie aktualne.

AGATON.KOZINSKI@POLSKAPRESS.PL

Władysław Kosiniak-Kamysz: Polska staje się miejscem najważniejszych ćwiczeń wojskowych w Europie. We wrześniu razem z naszymi żołnierzami będą ćwiczyć wojska Francji i Wielkiej Brytanii oraz inne wojska sojusznicze

FOT. PAP/PIOTR NOWAK

eprasa.pl facf02ca37

STOPKLATKA

FOT. PAP/EPA

↑

Tegoroczna defilada wojskowa na Polach Elizejskich w Paryżu zorganizowana w rocznicę zdobycia Bastylii 14 lipca 1789 r. była jedną z największych w ostatnich latach. Wzięło w niej udział niemal 7 tys. żołnierzy i ok. 300 pojazdów. Przybyło także wielu zagranicznych dygnitarzy. Wśród nich m.in. premier Donald Tusk czy prezydent Wołodymyr Zełenski.

FOT. PAP/TOMASZ WASZCZUK

↑

Ponad tysiąc rycerzy weźmie udział w inscenizacji Bitwy pod Grunwaldem w tę sobotę. Organizatorzy twierdzą, że to największa rekonstrukcja słynnego starcia od 2010 r. Choć 616. rocznica tej bitwy przypadła 15 lipca, to starcie zostanie odtworzone trzy dni później. Same Dni Grunwaldu trwają łącznie pięć dni - a ich uczestnicy żyją wtedy jak w średniowieczu.

→

207 par zatańczyło poloneza na Placu Katedralnym - centralnym punkcie Wilna. Nigdy wcześniej tak wielu uczniów polskich szkół na Litwie nie brało udziału w tym corocznym wydarzeniu. W ten sposób świętowali oni koniec nauki w liceach. Tradycja poloneza na tym placu narodziła się w 2017 r. i trwa. A Wilno zyskało niezwykle efektowne wydarzenie w centrum miasta.

FOT. PAP/VALDEMAR DOVEIKO

FOT. PAP/EPA

←

Jeden z najpiękniejszych widoków: kolorowe balony na niebie. W tym tygodniu można je było oglądać podczas 40. Friese Ballonfeesten w Holandii. Ale tego typu atrakcje stają się coraz bardziej popularne również w Polsce.

eprasa.pl facf02ca37

WYWIAD

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Sonita, jej najlepsze przyjaciółki i nauczycielka w szkole NGO w Iranie

Sonita Alizada: Miałam 10 lat, kiedy zrozumiałam, że rozmowy o moim małżeństwie to nie zabawa

– Dziś wiem, że każda dziewczyna ma wartość po prostu dlatego, że jest człowiekiem, a nie dlatego, ile ktoś jest gotów za nią zapłacić – mówi Sonita Alizada, afgańska raperka i aktywistka, autorka książki „Byłam na sprzedaż"

Anita Czupryn

Miała Pani zaledwie 10 lat, gdy po raz pierwszy chciano Panią sprzedać, wydając za mąż za obcego mężczyznę. Kilka lat później znów została Pani wystawiona na sprzedaż. W Polsce ukazała się właśnie Pani książka „Byłam na sprzedaż". Ten tytuł brzmi jak wyrok, ale też jest świadectwem Pani ocalenia. Czy dziś to jest dla Pani już przeszłość, która nie wróci, zagojona rana, czy rana, która czasem nadal się otwiera i boli?

To rana, która zagoiła się na wiele sposobów, ale czasami nadal się otwiera. Nie dlatego, że wciąż żyję tamtym życiem, ale dlatego, że nadal w taki sposób żyją miliony innych dziewcząt. Za każdym razem, kiedy słyszę kolejną historię o małżeństwie dziecka albo o dziewczynie pozbawionej wolności, przypomina mi się, jak blisko sama byłam takiego losu. Te wspomnienia nigdy całkowicie nie znikają. Z tym że dziś dają mi siłę zamiast strachu.

Kiedy po raz pierwszy usłyszała Pani, że ma zostać sprzedana? Pytam nie tylko o fakt, ale o moment, w którym dziecko zaczyna rozumieć, że dorośli rozmawiają o jego życiu tak, jakby ono do niego nie należało. Kto to powiedział i co dokładnie Pani wtedy zrozumiała?

Miałam około dziesięciu lat, kiedy zrozumiałam, że rozmowy o moim małżeństwie są prawdziwe. Na początku nie do końca rozumiałam, co oznacza małżeństwo, ale rozumiałam, że stracę wolność. Wiedziałam, że moja przyszłość jest ustalana bez pytania mnie, czego ja chcę. To uczucie zostało ze mną na wiele lat.

W Pani opowieści przemoc nie zaczyna się dopiero wtedy, gdy pojawia się decyzja o małżeństwie. Ona istniała wcześniej: w podziale ról, w domowych obowiązkach, w tym, że inaczej wychowuje się chłopców, a inaczej dziewczynki. Kiedy po raz pierwszy zobaczyła Pani, że chłopcy w Afganistanie mają więcej wolności,

eprasa.pl facf02ca37

i poczuła, że nie chce żyć według zasad napisanych bez Pani zgody?

Stało się to już bardzo wcześnie, w dzieciństwie. Chłopcy mogli wychodzić na zewnątrz, grać w piłkę, głośno się śmiać i marzyć o swojej przyszłości. Od dziewcząt oczekiwano, że zostaną w domu, będą posłuszne i przygotują się do małżeństwa. Pamiętam, że myślałam: „Dlaczego zasady są inne, skoro oboje jesteśmy dziećmi?”. To pytanie też zostało ze mną przez całe życie.

Została Pani wyceniona na dziewięć tysięcy dolarów. To konkretna kwota za życie dziewczyny, za jej ciało, przyszłość, wolność. Kiedy przestała Pani myśleć o tym, że ma cenę, i zaczęła wierzyć, że ma wartość, której nikt nie może wyznaczyć?

Wszystko się zmieniło dzięki edukacji. Każda książka, którą przeczytałam, każdy nauczyciel, który we mnie uwierzył, i każda szansa, którą otrzymałam, przypominały mi, że moja wartość nigdy nie była czymś, o czym może decydować inna osoba. Dziś wiem, że każda dziewczyna ma wartość po prostu dlatego, że jest człowiekiem, a nie dlatego, ile ktoś jest gotów za nią zapłacić.

W Pani książce szkoła jest czymś więcej niż miejscem nauki. Jest oknem na świat, przez które można po raz pierwszy zobaczyć inne życie. W którym momencie poczuła Pani, że edukacja dziewcząt jest ważna? Co ona im naprawdę daje?

Kiedy odmówiono mi edukacji, zrozumiałam, jak naprawdę wielką moc ona ma. Szkoła nie polega tylko na czytaniu i pisaniu. Edukacja daje dziewczętom pewność siebie, niezależność, uczy krytycznego myślenia i zdolności podejmowania decyzji dotyczących własnego życia. Edukacja jest jednym z najsilniejszych narzędzi wolności.

Co było dla Pani trudniejsze: ucieczka z tamtego życia czy powrót do niego w pamięci, żeby po latach zapisać to, co Panią spotkało? Bo książka wymaga innego rodzaju odwagi, trzeba jeszcze raz wejść w miejsca, z których człowiek próbował się wydostać.

Trudniejsze było napisanie książki. Ucieczka wymagała odwagi w tamtej chwili, ale samo pisanie oznaczało właśnie otwieranie dawnych ran i ponowne przeżywanie wspomnień, od których przez lata próbowałam uciec. Jednocześnie pisanie było też uzdrawiające, ponieważ pozwoliło mi zrozumieć własną historię i, mam taką nadzieję, pomóc komuś innemu poczuć się mniej samotnie.

W prologu książki przywołuje Pani scenę, w której pyta reżyserkę: „Czy możesz mnie kupić?”. Brzmi jak rozpacz, ale to była ostatnia próba ocalenia siebie. Jak rodzi się odwaga, żeby zawalczyć o własne życie?

Nie sądzę, żeby odwaga pojawiała się nagle. Czasem rośnie dlatego, że alternatywa staje się nie do zniesienia. Nie próbowałam być odważna; po prostu próbowałam przeżyć. Muzyka stała się moim sposobem powiedzenia: „Proszę, zobaczcie mnie, zanim będzie za późno”.

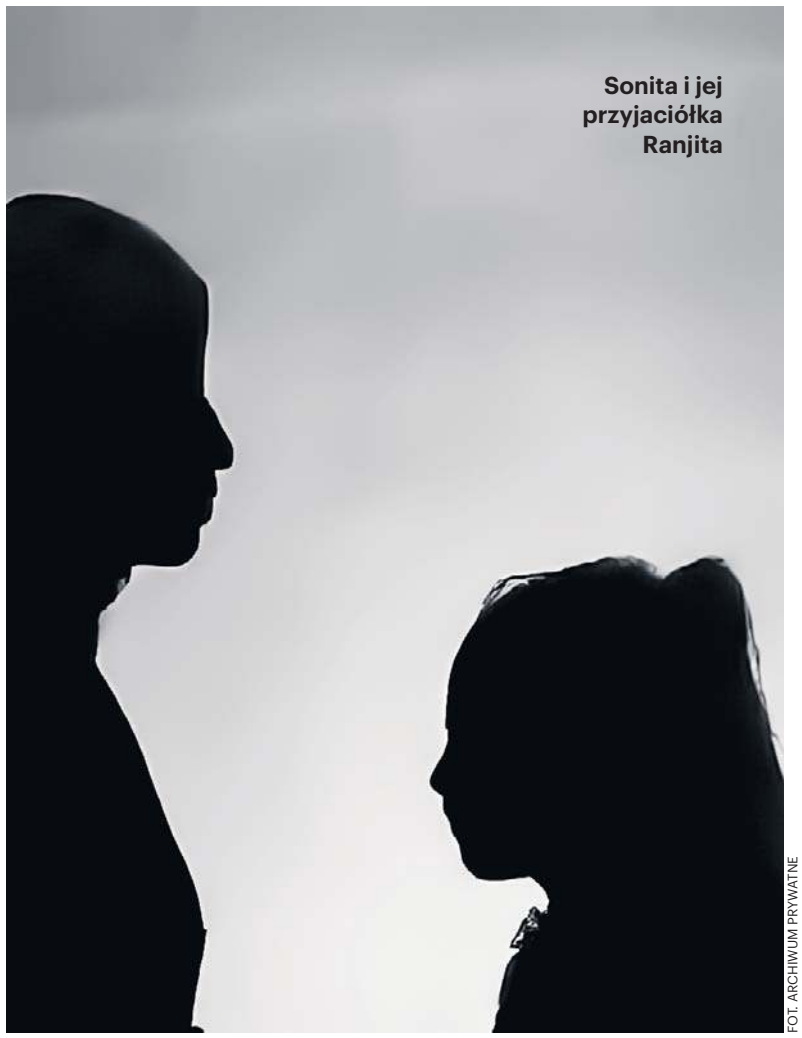

Sonita i jej przyjaciółka Ranjita

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Dziś jest Pani znaną raperką i aktywistką. Ale zanim to się stało, nagrała Pani teledysk „Daughters for Sale”. Cały świat zobaczył Pani posiniaczoną twarz i kod kreskowy na czole. Trudno zapomnieć ten obraz. To był zapis Pani własnego bólu czy manifest w imieniu wszystkich dziewcząt, których nikt nie słyszy?

To było jedno i drugie. Opowiadałam własną historię, ponieważ sama mierzyłam się z małżeństwem jako dziecko, ale chciałam też przemówić w imieniu milionów dziewcząt, których głosów nigdy nie usłyszano. Kod kreskowy symbolizował to, co się dzieje, kiedy społeczeństwo traktuje dziewczęta jak coś, co można kupić i sprzedać, zamiast jak istoty ludzkie, które mają swoje marzenia i prawa.

Jak rap pojawił się w Pani życiu i dlaczego właśnie rap? Co daje Pani ten gatunek muzyki, czego nie może dać żaden inny?

Rap dał mi głos, kiedy czułam się niewidzialna. Pozwolił mi mówić bezpośrednio, szczerze i bez proszenia kogokolwiek o pozwolenie. Rap może nieść ból, nadzieję, gniew i humor jednocześnie. Stał się dla mnie językiem, dzięki któremu mogłam opowiedzieć swoją historię dokładnie tak, jak chciałam, żeby świat ją usłyszał.

Jedną z najbardziej poruszających postaci w Pani książce jest Pani matka. Ona sama była ofiarą systemu, który później prawie odebrał wolność Pani. Co dziś Pani czuje, kiedy o niej myśli?

Czuję miłość, współczucie i smutek. Przez długi czas trudno mi było zrozumieć jej decyzje. Kiedy dorosłam, zrozumiałam, że ona też była ofiarą tego samego systemu. Sama miała bardzo niewiele możliwości wyboru. To nie wymazuje mojego bólu, ale pomogło mi zastąpić część gniewu zrozumieniem.

A jak Pani patrzy dziś na Afganistan i na dziewczęta pozbawione edukacji i wolności?

Ta sytuacja łamie mi serce. Każda dziewczyna zasługuje na to, by się uczyć, by marzyć i móc wybrać własną przyszłość. Jednocześnie afgańskie dziewczęta wciąż mnie inspirują, ponieważ nawet w niemożliwych warunkach, w tajemnicy, nadal się uczą, stawiają opór i nie tracą nadziei. Ich odwaga daje nadzieję także mnie.

Dla kogo napisała Pani tę książkę: dla dziewcząt żyjących w podobnym zagrożeniu, dla Zachodu, który powinien szerzej otworzyć oczy, dla rodzin, które nadal powielają ten system, czy może także dla swojej młodszej wersji, tej dziewczynki, która kiedyś nie wiedziała jeszcze, że jej głos może mieć znaczenie?

Na początku pisałam dla swojej rodziny i dla rodzin moich przyjaciół. Chciałam, żeby zrozumieli, jak to jest zostać sprzedaną i oddaną komuś, kogo się nie wybrało. W miarę pisania zrozumiałam, że ta książka jest także dla dziewcząt mierzących się z tą samą rzeczywistością, dla czytelników, którzy chcą zrozumieć, i być może także dla mojej młodszej wersji, która zasługiwała na to, by wiedzieć, że jej głos ma znaczenie.

Kim jest dziś Sonita Alizadeh i o czym marzy? Pytam już nie tylko o aktywistkę, artystkę i bohaterkę filmu czy książki, ale o kobietę, która po wszystkim próbuje budować własne życie.

Dziś nadal się uczę, nadal dorastam i nadal wierzę, że prawdziwe ludzkie historie mogą zmieniać świat. Niedawno ukończyłam studia magisterskie na Oxfordzie, ale czuję, że moje najważniejsze lekcje wciąż płyną od ludzi, których spotykam. Marzę o świecie, w którym dziewczęta nigdy nie będą traktowane jak własność i w którym każde dziecko ma wolność wyboru własnej przyszłości.

Kiedy jest Pani sama, bez sceny, bez kamer, kim Pani jest dla samej siebie? Inaczej mówiąc, co zostaje, kiedy znika publiczna rola i trzeba się mierzyć ze zwyczajnym życiem?

Jestem po prostu Sonitą. Lubię spokój. Kocham czytanie, pisanie muzyki, gotowanie i rozmowy z rodziną. Dużo się śmieję, czasem za dużo myślę i marzę o zwyczajnych rzeczach. Scena jest tylko małą częścią mojego życia. Osoba, którą ludzie widzą na scenie, jest tą samą osobą, która nadal cieszy się prostymi chwilami w domu.

Wierzy Pani, że pewnego dnia wróci do Afganistanu jako wolna kobieta, artystka i aktywistka? Nie jako ktoś, kto musi uciekać, tylko może wrócić z własnego wyboru?

Naprawdę mam taką nadzieję. Afganistan jest moim domem i nigdy nie przestałam go kochać, mimo wszystkiego, co się wydarzyło. Marzę o tym, by pewnego dnia tam wrócić. Chcę stanąć obok afgańskich dziewcząt w kraju, w którym wreszcie będą wolne, i będą mogły się uczyć, tworzyć i marzyć bez strachu.

Lubię spokój. Kocham czytanie, pisanie muzyki, gotowanie i rozmowy z rodziną. Dużo się śmieję, czasem za dużo myślę i marzę o zwyczajnych rzeczach. Osoba, którą ludzie widzą na scenie, jest tą samą osobą, która nadal cieszy się prostymi chwilami w domu

SONITA ALIZADA
afgańska raperka i aktywistka

Książka

Sonita Alizada, „Byłam na sprzedaż”, Prószyński i S-ka, Warszawa 2026

eprasa.pl facf02ca37

ZAWÓD: DETEKTYW

W pracy detektywa trzeba być każdym, tylko nie detektywem

– Czasem kobieta nie dzwoni do detektywa po to, żeby udowodnił zdradę. Ona chce usłyszeć, że nie zwariowała – mówi Paweł Boguszewski, współautor książki „Podglądałem twoją żonę. Z notatnika prywatnego detektywa"

Anita Czupryn

FOT. VIOLETTA BOGUSZEWSKA

Paweł Boguszewski: Jeśli chodzi o wykrywanie zdrady, kobiety są zwykle bardziej spostrzegawcze

Czy prywatny detektyw potrafi jeszcze usiąść w kawiarni i nie obserwować ludzi przy stolikach obok?

Myślę, że nie do końca. Nawet kiedy idę na spacer do Łazienek, rzuca mi się w oczy, kto idzie z mężem, kto z żoną, a kto z kochanką albo kochankiem. Mam już wyrobione spojrzenie pod tym kątem.

Po czym pan to poznaje? Ludzie są dziś bardziej pomysłowi w zdradzaniu, czy powtarzają te same błędy i dlatego od razu to widać?

To zależy od ludzi i od sytuacji: gdzie się poznali, czy to relacja z pracy, z internetu, czy obie strony są w związkach, czy tylko jedna. Jeśli on ma żonę, a ona ma męża, będą się kryli inaczej niż wtedy, gdy ona jest wolna, a on nie. Wtedy jej często mniej zależy na dyskrecji, a on próbuje udawać, naginać rzeczywistość. Takie informacje są dla mnie bardzo cenne. Kiedy wiem, w jakiej sytuacji jest ta druga osoba, łatwiej mi sobie wyobrazić, jak mogą się zachowywać. Ale zdrada nie ma jednego schematu. I to jest w tej pracy ciekawe: jedna sprawa drugiej nie jest równa. Czasami wydaje się, że wszystko pójdzie według znanego wzoru, a nagle ludzie robią coś zupełnie inaczej. Choć oczywiście jest też wiele spraw, w których schematy powtarzają się niemal książkowo.

Na czym najczęściej łapie się człowieka na zdradzie? Kobiety i mężczyźni popełniają inne błędy?

Jeśli chodzi o wykrywanie zdrady, kobiety są zwykle bardziej spostrzegawcze. Szybciej wyłapują detale: inny zapach perfum, ślad na ubraniu, zmianę zachowania. Mężczyzna może próbować to ukrywać, ale na początku jest ostrożny, a im dłużej trwa romans, tym bardziej ta ostrożność schodzi. Wtedy łatwiej o błąd. Mam też wrażenie, że mężczyzna często w pierwszym momencie nie angażuje się emocjonalnie tak szybko. Bardziej traktuje to jako znajomość, czasem relację seksualną. Kobiety częściej zaczynają angażować się emocjonalnie i z czasem naciskają: „Rozstań się z żoną, zrób coś, zdecyduj". Zdrady bywają odkrywane na różnych etapach. Czasami żona bardzo szybko coś wychwyci: telefon nagle jest cały czas przy mężu, pojawiają się bardziej tajemnicze delegacje, częstsze późne powroty, wyjścia, jak on to tłumaczy, na siłownię albo z kolegami. To budzi podejrzenia. A kiedy kobieta zaczyna pytać, mężczyzna często próbuje zrobić z niej wariatkę. Mówi jej, że wymyśla, czepia się, że to wszystko jej się wydaje, że wszędzie widzi coś złego.

Lato sprzyja zdradom? Wakacje, urlopy, hotele, delegacje, obozy jogi, szkolenia, to dla detektywa sezon żniw?

Wakacje to okres, kiedy relacje często zaczynają się mocniej nawiązywać. Sprzyjają temu warunki: ładna pogoda, wyjazdy, koncerty, festiwale muzyczne. Ale prawdziwe żniwa dla detektywa zaczynają się raczej we wrześniu i październiku. Dlaczego? Bo wtedy zaczynają zapadać decyzje. Mężczyzna, który zdradza, często mówi kochance, że w małżeństwie mu się nie układa. A skoro się nie układa, ona mówi: „To się wyprowadź, zakończ tamtą relację, zacznijmy własne życie". Jeśli on zaczyna potem naciskać w domu, mówić żonie, że uczucie wygasło, że coś się dzieje, żona zaczyna to analizować. Podejrzenia się nasilają. Wrzesień i październik to rzeczywiście dla detektywa gorący czas. Podobnie walentynki. Wtedy trudno o wolny termin, bo często zamiast z żoną czy mężem ktoś wychodzi z nowo poznaną osobą.

„Podglądałem twoją żonę. Z notatnika prywatnego detektywa" – tak brzmi tytuł książki, której jest pan współautorem wraz z Anną Sobolewską. Brzmi prowokacyjnie, trochę jak wakacyjny thriller. To historie inspirowane rzeczywistością, ale literacko opracowane. Gdzie kończy się dokument, a zaczyna fikcja?

Książkę w słowa ubrała moja siostra, Anna Sobolewska. Gdybym ja to opisywał, pewnie podszedłbym do tego zbyt technicznie. Gdyby ta książka była dokładnym opisem tego, co wykonuję w swojej pracy, mogłaby być nudna. Bo jak ciekawie opisać dzień, w którym stoję samochodem pod pracą, potem pod domem, czekam kilka godzin, aż ktoś się z kimś spotka, a oni się nie spotykają? Siostra skupiła się przede wszystkim na emocjach ludzi. I to jest też coś, co mnie w tej pracy najbardziej interesuje. Nie tylko technika. Techniczne rzeczy trzeba po prostu wykonać: mieć cierpliwość, poświęcić czas, mieć trochę szczęścia, dobrze trafić z obserwacją. Jazda za drugim samochodem w ruchu ulicznym też nie jest prosta, bo obserwowaną osobę można stracić z oczu. Ale najważniejsze są emocje. To, jak czuje się osoba zdradzona. Ja w dużej części zajmuję się właśnie emocjami, również dlatego, że oprócz biura detektywistycznego prowadzę Fundację Całym Sercem – Nadzieja. Pomagamy ofiarom przemocy rówieśniczej i przemocy wśród dorosłych. I powiem szczerze: ten temat dziś fascynuje mnie nawet bardziej niż sama detektywistyka. Zdrad widziałem już bardzo dużo. Natomiast to, co potrafią zrobić dzieci dzieciom, jakie sytuacje zdarzają się w szkołach, to mnie wciąż zaskakuje. Młodzi ludzie potrafią być brutalni, pomysłowi, niebezpieczni. Z jednej strony niby nie zdają sobie sprawy, co robią, a z drugiej, z ogromną precyzją potrafią wyrządzić komuś krzywdę. Mam wrażenie, że dorośli mogliby się od nich jeszcze wiele nauczyć. W złym sensie.

Wróćmy do pana doświadczenia detektywistycznego. Kto zdradza częściej: mężczyźni czy kobiety?

Postawiłbym tu znak równości. Jest mniej więcej po równo, tyle że więcej spraw przyjmuję od kobiet. Moim zdaniem dlatego, że kobiety są bardziej spostrzegawcze. Mężczyźni, zanim zorientują się, że coś jest nie tak, często mają wokół siebie ludzi, którzy już dawno to widzą. A on albo nie ma czasu, albo jest zapracowany, albo po prostu mniej uważny.

Była taka sprawa, przy której pomyślał pan: tego nie damy do książki, bo nikt w to nie uwierzy?

Historie, które znalazły się w książce, zostały oczywiście zmienione. Obowiązuje mnie tajemnica detektywistyczna. To nie są sprawy jeden do jednego. Zmienione są imiona, okoliczności, czasem połączone różne elementy z różnych historii, które przewinęły się przez moje ręce. Było wiele spraw, w które ktoś mógłby nie uwierzyć. Ale nie wybieraliśmy ich pod tym kątem. Zresztą ja sam, prowadząc sprawę, często spodziewam się jednego finału, a na końcu okazuje się, że prawda jest zupełnie inna.

Przychodzi klient przekonany o zdradzie partnera albo partnerki, a pan odkrywa coś całkiem innego?

Takie sytuacje się zdarzają, ale trudno mi o nich mówić konkretnie. Motywy bywają różne. Czasami ktoś chce obserwować drugą osobę, bo chce się zemścić. Czasami chce coś ustalić, ale wcale nie chodzi o kochankę czy kochanka. Nie mogę opowiadać o charakterystycznych sprawach, bo osoby, których dotyczyły, mogłyby się rozpoznać. Nawet jeśli mówiłbym ogólnie. Tajemnica detektywistyczna jest dla mnie bardzo ważna. Ktoś przychodzi do mnie ze swoim problemem i nie chciałbym, żeby później odnajdywał tę historię w wywiadzie.

Istnieje klasyczny zestaw zachowań osoby, która

eprasa.pl facf02ca37

zdradza? Telefon zabierany do łazienki, nowe hasła, siłownia, joga, delegacje?

Są takie szablonowe, wręcz książkowe sygnały. Na przykład mężczyzna, który do tej pory o siebie nie dbał, nagle zaczyna dbać. Chodzi w różowych koszulach, choć wcześniej był raczej szary i nijaki. Taka przemiana może świadczyć, że na horyzoncie pojawiło się zauroczenie. Oczywiście to nie znaczy, że każda kobieta ma podejrzewać mężczyznę tylko dlatego, że zapisał się na siłownię. Ale jeśli do tego dochodzą inne okoliczności, jak coraz mniej rozmów, coraz mniej wspólnego czasu, więcej kłótni, to wtedy zaczyna się układać pewien obraz. Bo jeśli ktoś ma dobrą relację z żoną, trudniej mu powiedzieć: „Słuchaj, o osiemnastej wychodzę z kolegami". Ale jeśli się kłócą, może strzelić focha o byle co i wyjść. Ma wtedy pretekst.

I jest usprawiedliwienie. A co ludzie robią najgłupszego, kiedy próbują ukryć romans?

Najgłupsze jest właściwie wszystko, bo oszukują drugą osobę. Jeden mówi, że idzie do sklepu, drugi na siłownię, trzeci do kolegi, czwarty zostaje po pracy, piąty ma delegację. Trzeba znaleźć powód, żeby wyjść z domu. Przecież nikt nie powie żonie: „Wychodzę do kochanki". Były też sprawy zabawne. Mężczyzna z żoną praktycznie się nie dogadywał. Często wychodził robić dziesięć tysięcy kroków, chodził z psem na spacery. Żona myślała, że kogoś ma, bo schemat był powtarzalny: prawie codziennie wychodził. A okazało się, że naprawdę dbał o zdrowie albo potrzebował chwili dla siebie. Chodził z psem po lesie, po okolicy. Ta historia się nie potwierdziła. Ale jeśli pojawia się kilka czynników naraz, kobieca intuicja bardzo często zaczyna świecić na czerwono. I potem rzeczywiście wszystko składa się w całość.

Zdarzył się panu ktoś, kto był mistrzem kamuflażu? Kogo nie dało się złapać?

Jeśli ktoś zdradza, to prędzej czy później da się go złapać. Trudniejsze bywa uchwycenie właściwego momentu. Miałem sprawę, w której kobieta mówiła, że mąż spotyka się z kimś po pracy, właściwie codziennie. Jednego dnia nic. Drugiego nic. Trzeciego też nic. W innej sprawie i mężczyzna, i kobieta pracowali na zmiany. Zakładaliśmy, że jeśli oboje skończą pierwszą zmianę, wtedy się spotkają. Obserwowaliśmy cały tydzień – i nic. Potem usłyszałem, że teraz to na pewno nie, bo ona jest w pracy. A okazało się właśnie odwrotnie: kiedy ona była w pracy, on do niej tam przyjeżdżał. Pracowała w takim miejscu, gdzie mogła być sama, więc mogli się spotykać właśnie tam. Na początku nie kleiło się to logicznie, a jednak prawda była inna.

Wyobrażamy sobie pracę detektywa jako pełną zdarzeń, napięcia, ekspresji. A co jest w niej najbardziej niedetektywistyczne? Siedzenie, czekanie, kawa na stacji paliw, papierologia?

Ta praca jest tajemnicza, bo nigdy nie wiadomo, dokąd zaprowadzi i jaki będzie wynik. Nawet kiedy ktoś przychodzi i mówi, jak jego zdaniem będzie, często okazuje się odwrotnie. Albo to, o czym klient zapewnia, że „Tego to na pewno nie będzie", pojawia się na końcu. To jest trochę jak dobra książka albo dobry film kryminalny. Wydaje się, że wszyscy wiedzą, kto to zrobił, a finał jest inny. Najbardziej interesujące są dla mnie, choć to bardzo trudne sprawy, zaginięcia. Na początku rodzina często mówi: „Nie było żadnego powodu, żadnego sygnału". A im głębiej się wchodzi w sprawę, tym częściej te sygnały i powody zaczynają się pojawiać. Czasem takie, których bliscy nigdy by się nie spodziewali: tajemnice, problemy, dziwne znajomości, miejsca, w które ta osoba wchodziła, choć może nie powinna. Oczywiście zawsze bierze się pod uwagę różne okoliczności: wypadek, nieszczęście, przypadkowe zdarzenie. Ale zaginięcia, jeśli chodzi o tajemnicę i finały, potrafią naprawdę zaskoczyć. Sprawy trwają kilka dni, tygodni, miesięcy. I czasami im dłużej trwają, tym bardziej człowiek ma poczucie, że zamiast zbliżać się do rozwiązania, oddala się od sensownych ustaleń.

Detektyw powinien mieć talent aktorski? Musi pan umieć być raz a to „panem od internetu", innym razem „panem z gazowni", klientem kawiarni, przypadkowym przechodniem?

W pracy detektywa, kiedy obserwuje się drugiego człowieka, trzeba być każdym, tylko nie detektywem. Trzeba dopasować się strojem i zachowaniem do miejsca. Czasami to dyskoteka, czasami kasyno, klub, kręgielnia, sklep. Bywa, że trzeba wejść do sklepu jako klient i zapytać ekspedientkę o perfumy dla żony albo o coś zupełnie innego, żeby przy okazji czegoś się dowiedzieć. Trzeba umieć dopasować się do okoliczności. Myślę, że rzeczywiście trzeba trochę wcielać się w różne role.

Kim dzisiaj jest prywatny detektyw? Bardziej filmowym śledczym z aparatem czy człowiekiem od analizy różnych danych? Może wciąż wystarczy zrobić zdjęcie: on całuje ją, ona jego i jest dowód?

Wszystko zależy od sprawy. Czasami trzeba przeanalizować media społecznościowe, strony internetowe, to, co jest ogólnie dostępne w sieci. Spędzam na tym sporo czasu, bo z informacji, które ludzie sami wrzucają do internetu, z różnych stron i ogólnodostępnych baz można wydobyć naprawdę dużo. Nie mam dostępu do płatności bankowych. Nie wejdę komuś na konto bankowe. Detektyw nie ma większych uprawnień niż zwykły człowiek w tego typu sprawach.

Nie jest pan hakerem? Nie włamuje się do kont?

Nie. To trzeba jasno powiedzieć: zawód detektywa to nie bajka i nie film. Obowiązuje mnie ustawa, która określa, co wolno robić, a czego nie wolno. Pewne czynności wiążą się z odpowiedzialnością karną. Choćby podłożenie GPS-u pod samochód – tego robić nie wolno.

W książce jest rozdział o pokoju z mikrofonem w ścianie. Po jego lekturze pomyślałam, że człowiek ma ochotę obejrzeć własne gniazdka i czujniki. Łatwo dziś kogoś podsłuchać albo podglądać?

Często nie robi tego detektyw, tylko ludzie robią to sobie nawzajem: mąż żonie, żona mężowi. Korzystają z technologii, bo taki sprzęt nie jest dziś bardzo drogi. Oczywiście zależy jaki, ale pewne urządzenia można kupić już za kilkaset złotych. Przez wiele lat pracowałem w sądzie i wiem, jakie dowody są sądowi potrzebne, które mogą zostać uznane za wiarygodne, a które będą problematyczne. Dowody zdobyte nielegalnie mogą nie zostać uznane albo ich wiarygodność będzie podważana. Jeśli sami łamiemy prawo po to, żeby zdobyć dowód, trudno potem oczekiwać, że sąd bez zastrzeżeń da temu pełną wiarę. Ludzie robią sobie nawzajem różne rzeczy. Częścią pracy detektywa bywa wykrywanie podsłuchów, GPS-ów, ukrytych kamer. I rzeczywiście zdarza się, że takie urządzenia są zamontowane. Są też osoby bardziej sprawne informatycznie. Przeglądają historię przeglądarki, wspólny dysk Google, wspólnego laptopa. I tam znajdują sporo informacji. Ktoś szukał bielizny albo prezentu, który nie trafił potem do żony na walentynki, choć był zapisany w historii. Dzisiaj droga elektroniczna jest dużym źródłem informacji, zwłaszcza gdy ludzie korzystają z tych samych urządzeń albo kont.

Jeśli sami łamiemy prawo po to, żeby zdobyć dowód, trudno potem oczekiwać, że sąd bez zastrzeżeń da temu pełną wiarę

PAWEŁ BOGUSZEWSKI
prywatny detektyw

Kto przychodzi do detektywa? Osoby, które chcą poznać prawdę, czy te, które mają już własną wersję i szukają jej potwierdzenia?

Jest dużo różnych spraw. Ponieważ prowadzę fundację, działa też telefon, pod który ludzie dzwonią po pomoc. Czasami trudno mi nawet powiedzieć, czy udzielam rady jako detektyw, czy po prostu jako osoba znająca się na takich problemach. Rozmawiam z nimi bezpłatnie. Są osoby, które szukają potwierdzenia, że nie zwariowały. Takich spraw jest coraz więcej. To często sprawy związane z przemocą. Mężczyzna zdradza przez długie miesiące albo lata, kobieta pyta, a on robi z niej wariatkę. Mówi, że wszystko jej się kojarzy ze zdradą, że coś jej się pomieszało w głowie. Po pewnym czasie taka kobieta nie dzwoni już nawet po to, żeby udowodnić zdradę męża. Ona chce usłyszeć, że nie zwariowała. Jeśli przez miesiące albo lata ktoś słyszy: „Wydaje ci się", naprawdę może stracić orientację. Zaczyna się zastanawiać: czy jestem przewrażliwiona, czy moje podejrzenia są słuszne? Ale są też osoby, które trafiają do mnie, bo sprawa jest już na etapie sądowym. Wtedy często adwokat doradza, żeby zdobyć dowody, żeby w sprawie nie było tylko pustych słów, stwierdzeń, SMS-ów czy podejrzeń.

Wróćmy do książki. Rozdział o znikających fakturach pokazuje, że detektyw to nie tylko romanse, ale też biznes. Które sprawy są trudniejsze: sercowe, gdzie jest dużo emocji, czy finansowe?

Praca detektywa jest bardzo szeroka. Nie tylko sprawy rodzinne, ale też cywilno-gospodarcze. Do tych drugich trzeba mieć inne podejście i trochę wiedzy. Jeśli ktoś prowadzi firmę, ma dostęp do dokumentów, faktur, może pokazać, jak to wygląda – wtedy można to spokojnie przeanalizować. Detektywi pracują też dla firm, sprawdzają przyszłych kontrahentów pod kątem wiarygodności, tego, czy dają gwarancję bezpiecznej współpracy. Takich spraw jest dziś sporo. Ludzie bardzo często oszukują się nawzajem, nie wypłacają należności. Bywa, że praca detektywa ma też wymiar windykacyjny: trzeba ustalić, gdzie ktoś się ukrywa, czy ma jakiś majątek. To jest praca z dokumentami, logicznym łączeniem faktów, ale też praca w terenie. Jeśli ktoś wyprowadził z firmy rzeczy ruchome albo coś zniknęło z magazynu, czasem trzeba ustalić, gdzie to się znajduje. W takich sprawach jest obserwacja, analiza zachowań, kontaktów, powiązań. Czasami chodzi o nieuczciwych pracowników, czasami współpracowników, czasami kontrahentów.

Po tym wszystkim, co pan widzi, po niewiernych mężach, żonach, oszustwach, kłamstwach, wierzy pan jeszcze w miłość?

Mam udaną rodzinę, udaną relację z żoną. Szanujemy się nawzajem. Nie przenoszę tej pracy do domu. Wiem, że ludzie chronią telefony dla bezpieczeństwa i prywatności. My z żoną nie mamy potrzeby, żeby od siebie telefony ukrywać czy je specjalnie hasłować. Spędzamy ze sobą dużo czasu, nie mamy z tym kłopotu, nie mamy tajemnic. Opowiadamy sobie o swoich przeżyciach i różnych sytuacjach. Osobiście się tego nie obawiam i nie przenoszę tego na swoją rodzinę.

Który z literackich albo filmowych detektywów jest dla pana wzorem? Hercules Poirot, Sherlock Holmes, Cormoran Strike?

Muszę mocno oddzielić fikcję od rzeczywistości. Bohaterowie literaccy i filmowi są fikcyjni. Ich metody są ciekawie opisane, ale z rzeczywistością często mają niewiele wspólnego. Lubię filmy detektywistyczne i policyjne. Kiedy byłem młodszy, podobał mi się serial „Detektywi". Pokazywał sprawy ciekawe, z zaskakującymi zakończeniami. Ale rzeczywistość wygląda inaczej. W filmach częściej pokazuje się sprawy kryminalne, którymi w realnym świecie zajmuje się przede wszystkim policja. Do prywatnego detektywa trafiają głównie sprawy cywilno-gospodarcze i rodzinne, czyli takie, którymi policja zwykle się nie zajmie, jeśli nie ma przestępstwa. Jeśli ktoś chce sprawdzić kontrahenta, zanim dojdzie do czynu zabronionego, policja też nie działa „na zapas". Nie będzie tego kontrolować ani sprawdzać. A z bohaterów? Lubię raczej postacie z filmów policyjnych. „Kryminalnych", ten serial TVN, bardzo lubiłem. Lubię też „07 zgłoś się", z porucznikiem Borewiczem. To nie są detektywi, raczej policjanci, wcześniej milicjanci, ale takie policyjno-kryminalne historie zawsze mnie interesowały.

eprasa.pl facf02ca37

KULTURA

Najbardziej wyczekiwana premiera filmowa tego roku

Superprodukcja „Lalka", wyjątkowo wyczekiwana ekranizacja słynnej powieści Bolesława Prusa, trafi do kin 30 września. To jedno z największych polskich przedsięwzięć filmowych ostatnich lat, a część zdjęć do nowej odsłony tytułu powstała w łódzkich lokalizacjach

Dariusz Pawłowski

„Lalka" w reżyserii Macieja Kawalskiego należy do najgłośniejszych przedsięwzięć w historii polskiego kina i ma szansę stać się wydarzeniem i frekwencyjnym hitem nie tylko tego roku. Wrażenie robią inscenizacyjny rozmach, jaki zapowiadają realizatorzy oraz jedna z najbardziej gwiazdorskich obsad w dziejach naszej kinematografii.

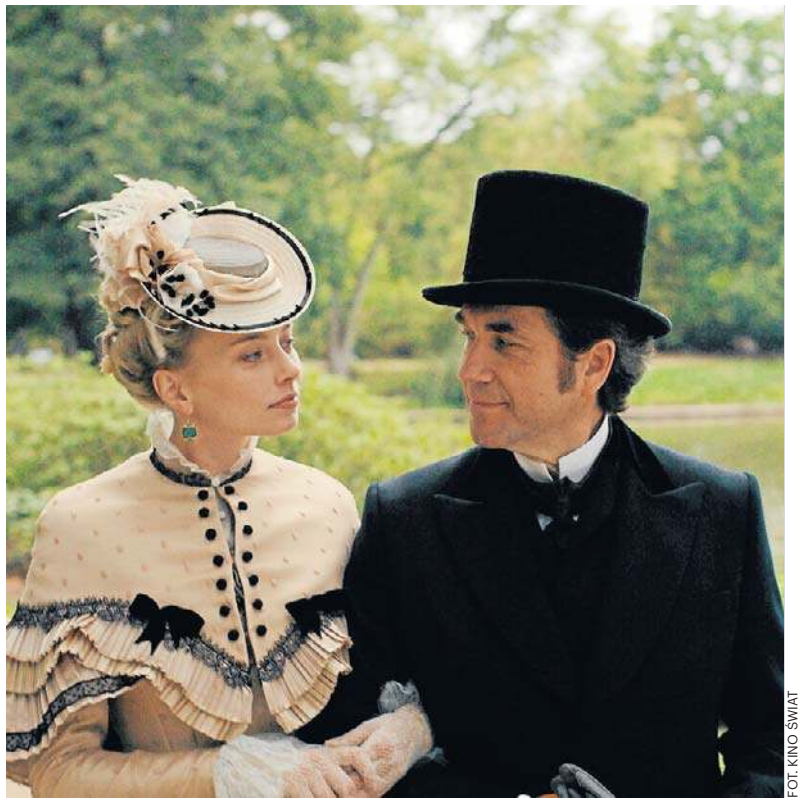

FOT. KINO ŚWIAT

Główne role w filmie zagrali Marcin Dorociński (wciela się w postać Stanisława Wokulskiego) i Kamila Urzędowska (Izabela Łęcka)

Wielki powrót do wielkiej produkcji

Sensacją stało się ogłoszenie, że dla „Lalki" po 16 latach na wielki ekran powrócił Marek Kondrat. Aktor przyjął rolę Ignacego Rzeckiego i stwierdził, że takich propozycji się po prostu nie odrzuca. W rolach głównych występują Marcin Dorociński jako Stanisław Wokulski oraz gwiazda „Chłopów", Kamila Urzędowska, jako Izabela Łęcka (kandydatką do tej roli była również Emma Giegżno). A obok nich plejada wyśmienitych aktorskich osobowości: Andrzej Seweryn (hrabia Tomasz Łęcki), Maria Dębska (Kazimiera Wąsowska), Agata Kulesza (Pani Meliton), Mateusz Damięcki (Kazimierz Starski), Karolina Gruszka (Florentyna), Krystyna Janda (hrabina Joanna Karolowa), Maja Komorowska (prezesowa Zasławska), Filip Pławiak (Julian Ochocki), Maciej Stuhr (dr Michał Szuman), Dawid Ogrodnik (Mraczewski), Wojciech Mecwaldowski (adwokat), Borys Szyc (baron Krzeszowski), Maja Ostaszewska (baronowa Krzeszowska), Cezary Żak (baron Dalski), Andrzej Chyra (profesor Geist), Paweł Wilczak (Henryk Szlangbaum), Maciej Musiałowski (Maruszewicz) oraz Maria Sobocińska, Jan Englert, Cezary Kosiński, Rafał Rutkowski, Jan Peszek, Tomasz Ziętek, Roman Gancarczyk, Bartłomiej Firlet, Adrian Zaremba, Jakub Wieczorek.

Marcin Dorociński nie kryje, że rola Wokulskiego to dla niego aktorskie spełnienie marzeń, ale i ogromna presja, spowodowana wielkimi oczekiwaniami widzów, wcześniejszymi ekranizacjami oraz tym, że każdy, kto przeczytał powieść, ma przecież własne zdanie na temat tej postaci. Podobnie wypowiadają się pozostali aktorzy. Należy liczyć na to, że świadomość gigantycznej odpowiedzialności, wzniesie artystów na najwyższe partie ich możliwości.

Zdjęcia do kinowej „Lalki" (bo przypomnijmy, że powstaje również serial dla Netfliksa) kręcono między innymi w Łodzi. Wśród lokalizacji był pałac Karola Poznańskiego przy ulicy Gdańskiej 32, który jest obecnie siedzibą Akademii Muzycznej im. Grażyny i Kiejstuta Bacewiczów. Warto przypomnieć, że na przykład w łódzkim Pałacu Rodziny Poznańskich przy ulicy Ogrodowej czy Pałacu Karola Scheiblera przy Placu Zwycięstwo kręcono film Wojciecha Jerzego Hasa z 1968 roku oraz serial Ryszarda Bera z roku 1977. W Łodzi pracowała również ekipa wspomnianego, najnowszego serialu, w którym w główne role wcielają się Sandra Drzymalska i Tomasz Schuchardt – reżyseruje Paweł Maślona, serial ma mieć premierę na platformie Netfliksa 16 września.

Jak podają producenci, film Macieja Kawalskiego realizowano w 48 lokacjach w całej Polsce – zarówno w malowniczych plenerach, jak i spektakularnych wnętrzach, w tym w historycznych obiektach – takich jak Pałac na Wodzie i Biały Dom w Łazienkach Królewskich, Pałacyk Sobańskich czy Pałac w Nieborowie wraz z ogrodem. Na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie zaś na kilkuset metrach odtworzono fragment dawnej stolicy, tworząc historyczne witryny sklepowe i wznosząc w skali 1:1 sklep Wokulskiego.

Dwa lata przygotowań, pięć miesięcy zdjęć

Przygotowania do realizacji kinowej „Lalki" zajęły dwa lata. Do filmu zaangażowano czołowych polskich twórców, aktorów i ponad 3000 statystów. Praca na planie trwała pięć miesięcy, podczas których zrealizowano 60 dni zdjęciowych. Pierwszy klaps padł 22 lipca 2025 roku w Pałacyku Sobańskich w Alejach Ujazdowskich, gdzie urządzono mieszkanie Łęckich.

Autorem zdjęć jest Piotr Sobociński Jr, absolwent Wydziału Operatorskiego łódzkiej Szkoły Filmowej, jeden z najwybitniejszych operatorów swego pokolenia. Za montaż filmu odpowiada Przemysław Chruścielewski, także absolwent PWSFTviT w Łodzi. Muzykę do filmu stworzył Łukasz Targosz, autor ponad czterdziestu ścieżek dźwiękowych skomponowanych do produkcji z różnych gatunków filmowych.

Autorskie kostiumy dla filmowych postaci stworzyli Katarzyna Lewińska i Tomasz Ossoliński z gościnnym udziałem Gosi Baczyńskiej. Całość dopełnia charakteryzacja Anety Brzozowskiej. Na potrzeby filmu powstały setki projektów tworzonych z dbałością o historyczną wierność, w oparciu o oryginalne żurnale mody i wykroje z końca XIX wieku. Dla głównych aktorów uszyto ponad sto kostiumów na miarę – w tym dwadzieścia sukien dla Izabeli Łęckiej, a także ponad 500 kompletów dla statystów.

Za scenografię odpowiada duet Katarzyna Sobańska i Marcel Sławiński oraz Anna Mocny – twórcy wspólnie wykreowali plastyczny, historycznie wiarygodny świat epoki i XIX-wiecznej Warszawy. Jak zapewniają autorzy, projektowanie i budowa scenografii wymagały wielomiesięcznych przygotowań obejmujących analizę dawnych rycin, obrazów i historycznych dokumentów. Na potrzeby filmu zgromadzono i przygotowano tysiące elementów dekoracji oraz rekwizytów.

– Po kilku dekadach „Lalka" wraca na wielki ekran, by na nowo poruszyć serca kilku pokoleń Polaków. To film, który wspólnie w kinie mogą zobaczyć nastolatki, z rodzicami, z dziadkami, a nawet pradziadkami i każde z nich coś odczuje, coś przeżyje, a potem jeszcze przez długi czas będą mogli o tym dyskutować. Praca nad takim filmem to dla wszystkich twórców prawdziwy zaszczyt! Dajemy z siebie absolutnie wszystko, żeby powstało coś specjalnego, pięknego i ważnego – zapowiada reżyser Maciej Kawalski.

O czym będzie nowa „Lalka"?

Wszyscy znamy historię zapisaną w „Lalce". A tak opowieść zawartą w filmowej produkcji przedstawiają jej realizatorzy: „Warszawa końca XIX wieku. Serce Stanisława Wokulskiego owładnięte jest szaloną miłością do Izabeli Łęckiej. On, dzięki fortunie zdobytej na wojnie, powraca do kraju i postanawia wkroczyć do świata wyższych sfer, aby zdobyć rękę ukochanej. Ona jest olśniewająca i wyniosła, lecz mimo arystokratycznego pochodzenia zmaga się z widmem finansowej ruiny. U boku Wokulskiego stoi jego wierny przyjaciel – Ignacy Rzecki, romantyk, który z nostalgią obserwuje, jak świat ideałów ustępuje miejsca społecznym aspiracjom i bezwzględnej grze interesów. Wokulski wkracza w labirynt arystokratycznych salonów, gdzie każdy gest może być początkiem intrygi, a każde słowo – zapowiedzią zdrady. Stający na jego drodze rywale, niespodziewane sojusze i dramatyczne wybory wystawią na próbę jego marzenia i wiarę w ludzi. To opowieść o miłosnym zauroczeniu, które zmienia losy bohaterów i zaciera granice między sercem a rozumem". Wygląda to na film pełen melodramatycznych emocji, ale i jak najbardziej zbliżony do współczesnych relacji w ostrym kapitalizmie i obrazu dzielącego się na klasy polskiego społeczeństwa.

Warto zaznaczyć, że realizacja filmu „Lalka" została sfinansowana głównie ze środków prywatnych, dzięki zaangażowaniu dużych firm, jak i prywatnych inwestorów. Producentem filmu jest Gigant Films, koproducentami – TVN oraz Wytwórnia Filmów Fabularnych we Wrocławiu, a dystrybutorem Kino Świat.

Co ciekawe, początkowo film (a i planowany na jego podstawie serial) miał powstać we współpracy z Telewizją Polską – w marcu 2024 roku ogłaszano, że właśnie TVP będzie koproducentem przedsięwzięcia, który zainwestuje w projekt 10 milionów złotych. Jednak przed rozpoczęciem zdjęć publiczny nadawca wycofał się z projektu, publikując oświadczenie: „TVP z pełnym zaangażowaniem wspiera próby ekranizacji klasyki polskiej literatury. Jednak w sytuacji, gdy równolegle serial „Lalka" realizuje platforma streamingowa, powielanie kosztownych projektów nie jest uzasadnione – ani z punktu widzenia interesu publicznego, ani z uwagi na możliwości finansowe spółki, która aktualnie znajduje się w stanie likwidacji".

Teraz Radosław Drabik, producent filmu, zapewnia: – „Lalka" będzie wydarzeniem, które przywróci wiarę w kino i oderwie widzów od telewizorów, oferując najlepsze filmowe doświadczenie.

Cóż, czekamy z niecierpliwością na premierę...

„Lalka" na ekranie:
1968 – film Wojciecha Jerzego Hasa, Mariusz Dmochowski jako Wokulski, Beata Tyszkiewicz jako Izabela
1978 – serial Ryszarda Bera, Jerzy Kamas jako Wokulski, Małgorzata Braunek jako Izabela
2026 – film w reżyserii Macieja Kawalskiego i serial w reżyserii Pawła Maślony

eprasa.pl facf02ca37

HISTORIA

FOT. CC

Warszawiacy witali Jurija Gagarina niczym gwiazdę muzyki popularnej

Gagarinomania po polsku latem 1961 r.

Nie pisarze, muzykanci czy aktorzy. Przez trzy lipcowe dni 1961 roku idolem tłumów był Jurij Gagarin, 28-letni wówczas radziecki kosmonauta

Mariusz Grabowski

Pierwszy człowiek w kosmosie w dniach 20-22 lipca odwiedził Warszawę, a potem odbył celebryckie tournée od Śląska po Zieloną Górę. Pobyt w Polsce był częścią dwuletniej tzw. Misji Pokoju, w której trakcie Gagarin objechał triumfalnie 30 krajów.

Awans na majora

Przypomnijmy: Jurij Aleksiejewicz Gagarin był pierwszym człowiekiem w przestrzeni kosmicznej i pierwszym sowieckim kosmonautą. Brał udział w jednej misji kosmicznej, nazwanej „Wostok 1". 12 kwietnia 1961 r. odbył w statku kosmicznym Wostok lot po orbicie satelitarnej Ziemi, dokonując, w ciągu godziny i 48 minut, jednokrotnego jej okrążenia.

Globalna sława przyszła natychmiast. Jeszcze w czasie lotu orbitalnego został awansowany do stopnia majora, a zaraz po wylądowaniu tow. Nikita Chruszczow odznaczył go Orderem Lenina. W ZSRR Gagarin stał się idolem, a zaraz potem jego sława stała się globalna.

Nic dziwnego, że wszystkie bratnie kraje socjalistyczne natychmiast wystosowały doń zaproszenia. Ze strony Polski stosowne dokumenty wysłały rząd PRL i PZPR. Ale Gagarin pojechał też do krajów kapitalistycznych, m.in. do Wielkiej Brytanii, Kanady i Brazylii. Wszędzie głosił wyższość ustroju socjalistycznego. Jego zdjęcia z Chruszczowem, egipskim Sfinksem, Fidelem Castro, premierem Wielkiej Brytanii Haroldem Macmillanem czy sławną aktorką Giną Lollobrigidą obiegały świat i były niemal ikonami popkultury.

Co ciekawe, w USA Gagarin nie był. Administracja Johna F. Kennedy'ego uznała, że pobyt Rosjanina w amerykańskich miastach to zbyt duże ryzyko propagandowe. Zresztą mieli już swojego własnego herosa, Alana Sheparda, który 5 maja 1961 r. w pojeździe „Freedom 7" wzniósł się na suborbitalną wysokość 187 kilometrów.

Okęcie pęka w szwach

W 1961 r. radzieckiego kosmonautę sławiły pod niebiosa prasa, radio i telewizja. Twarz Gagarina trafiała na plakaty i kartki pocztowe, a nawet na znaczki i monety. Piosenki o nim śpiewały dzieci w przedszkolach, jego nazwisko otrzymywały place i ulice, a on stawał nawet na cokołach. Gagarin stał się człowiek-symbolem postępu.

Pobyt w Polsce zaczął się w czwartek, 20 lipca 1961 r. rano. Gagarina witano na lotnisku Okęcie w Warszawie niezwykle uroczyście. Były delegacje partyjno-rządowe, były telewizja i radio, a także nieprzebrane tłumy ludzi. Zaraz po przemówieniu wicepremiera Piotra Jaroszewicza swoje przemówienie wygłosił gość.

Mówił m.in.: „Z okazji wystrzelenia w Związku Radzieckim statku kosmicznego »Wostok« otrzymaliśmy z samej tylko Polski ponad trzy tysiące listów gratulacyjnych i depesz. Depesze i listy nadeszły do partii i organizacji społecznych i kulturalnych od różnych przedsiębiorstw i poszczególnych obywateli z najróżniejszych miast i wsi, a w tym bardzo wiele listów z waszej bohaterskiej Warszawy, wiele z Poznania i Krakowa, Gdańska, Łodzi, Szczecina i innych miast. Te listy i depesze świadczą o miłości narodu polskiego do narodu radzieckiego". Kończył zaś tak: „Nasze sukcesy to zarazem i wasze sukcesy. To zwycięstwo całego obozu pokoju i socjalizmu. Niech żyje naród polski! Niech żyje przyjaźń polsko-radziecka! Niech żyje pokój na całym świecie!".

Wśród towarzyszy

„Zdtrastwuj Gagarin" – tak na pierwszych stronach witały gościa polskie gazety. Polska Agencja Prasowa donosiła: „Chóralnym »Sto lat« tysiące warszawiaków powitały pierwszego kosmonautę, Bohatera Związku Radzieckiego, majora Jurija Gagarina. (...) Na ścianie portu lotniczego, obok wielkich portretów Władysława Gomułki i Nikity Chruszczowa, ogromny napis: »Niech żyje wieczysta przyjaźń między narodem polskim a narodami Związku Radzieckiego«".

Po południu odbyło się spotkanie Gagarina z wierchuszką partii i rządu. „I sekretarz KC PZPR Władysław Gomułka, przewodniczący Rady Państwa Aleksander Zawadzki i prezes Rady Ministrów Józef Cyrankiewicz przyjęli pierwszego kosmonautę mjra Jurija Gagarina. (...) Obecny był również ambasador nadzwyczajny i pełnomocny w Polsce gen. Awierkij Aristow, attache wojskowy ambasady gen. Leonid Kaliniczenko oraz towarzyszący pierwszemu kosmonaucie Borys Aristow".

Ale nie było to ostatnie spotkanie tego dnia. „Wczoraj w godzinach wieczornych – podawała PAP 21 lipca – w salach Belwederu w Warszawie odbyła się uroczysta dekoracja mjr. Jurija Gagarina przyznanym mu przez Radę Państwa Krzyżem Grunwaldu I klasy. Pierwszego kosmonautę dekorował przewodniczący Rady Państwa Aleksander Zawadzki".

Kosmonauta i górnicy

Ale to nie Warszawa miała być głównym celem wizyty Gagarina. W piątek, 21 lipca 1961 r., skoro świt, kosmonauta ruszył pociągiem do Katowic. Na Śląsku witany był przez rzesze rozentuzjazmowanych ludzi i nie był to wcale entuzjazm sztuczny. „Muszę z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że sympatia Polaków do Gagarina była prawdziwa i spontaniczna" – wspominał Franciszek Wszołek, były dyrektor kopalni „Wujek" oraz wiceminister górnictwa i energetyki w latach 1964-1969.

O godz. 9.10 na katowickim peronie Gagarina uroczyście powitał Edward Gierek, wówczas I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR, i przedstawiciele władz wojewódzkich. Odegrano hymny Polski i Związku Radzieckiego, a potem Gagarin wyruszył w kawalkadzie samochodów z katowickiego rynku. Obwożono go w odkrytym samochodzie w asyście Gierka i wicepremiera Piotra Jaroszewicza.

Podczas pobytu na Śląsku Gagarin spotkał się m.in. z załogą zabrzańskiej kopalni „Pstrowski". Od górników dostał lampę górniczą i rzeźbę z węgla. Był również w Wojewódzkim Parku Kultury i Wypoczynku w Chorzowie, pozdrawiał tłumy spod pomnika Kopernika. Gagarin odwiedzić też m.in. huty „Baildon", „Zgoda" i „Pokój". Tam w rozmowie z górnikami wspomniał o epizodzie ze swojego życia: w 1949 r. przez pewien czas pracował jako odlewnik-formierz w fabryce maszyn rolniczych w Lubiercach, 20 km na południowy wschód od Moskwy.

Następnie gość przejechał przez Rudę Śląską, Bytom i Zabrze. „Jechaliśmy odkrytymi samochodami naokoło Śląska i Zagłębia, od Gliwic, Zabrza, Dąbrowy Górniczej, Sosnowca. Razem około 100 kilometrów, a w każdym mieście tłumy, tysiące, tysiące ludzi wiwatowały na cześć pierwszego kosmonauty" – opisywał Wszołek, który uczestniczył w tym niepowtarzalnym objeździe.

Zielona Góra pamięta

Obliczano, choć zapewne z propagandową przesadą, że na trasie przejazdu Jurija Gagarina witało ok. 1,5 mln mieszkańców i pracowników Górnego Śląska. 22 lipca Rosjanin uczestniczył w uroczystej akademii z okazji 22 Lipca na katowickim Torkacie. To wtedy został odznaczony Krzyżem Grunwaldu I klasy oraz nadano mu tytuł Honorowego Pilota Jednostki Wojskowej 5037 w Babimoście.

Tego samego dnia Gagarina zawieziono do Zielonej Góry. Do dziś na ścianie auli Uniwersytetu Zielonogórskiego przy ul. Podgórnej 50 znajduje się charakterystyczna, wielobarwna mozaika z 1969 r. Przedstawia wizerunek kosmonauty oraz układ heliocentryczny i jest estetycznym śladem po wizycie kosmonauty w tym mieście.

„Gazeta Zielonogórska" z 21 lipca donosiła zaś: „W przeddzień przyjazdu do naszego miasta pierwszego kosmonauty, mjra Jurija Gagarina, dziś o godz. 18 nastąpi uroczyste wmurowanie aktu erekcyjnego pod ZMS-owską Szkołę Tysiąclecia. Jak wiadomo, na część wspaniałego sukcesu bohatera kosmosu zielonogórska szkoła Tysiąclecia nazwana zostanie jego imieniem. (...) Po imprezach artystycznych około godziny 21 rozpocznie się wielka zabawa taneczna".

O ile o mozaice z Gagarinem co kilka lat słyszymy, zazwyczaj że się sypie, to idea Gagarinowskiej szkoły Związku Młodzieży Socjalistycznej już dawno odeszła w przeszłość. Podobnie jak sama Gagarinomania i pamięć o polskiej miłości do radzieckiego kosmonauty.

eprasa.pl facf02ca37

NIEZBĘDNIK CZYTELNICZY

Poleca
Agaton Koziński

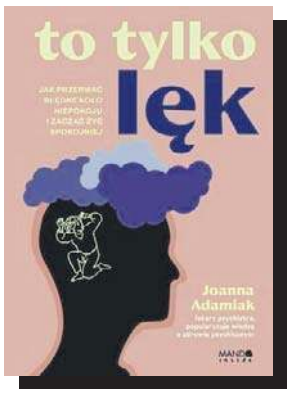

Jak zachować dystans wobec swoich lęków

To nie przypadek, że jeden z najbardziej znanych obrazów ekspresjonistycznych to „Krzyk" Edwarda Muncha. Norweski malarz, jako jeden z nielicznych twórców świata, znalazł sposób na to, by wyraziście pokazać jeden z najbardziej naturalnych – a jednocześnie najtrudniej uchwytnych – stanów: lęk. To „Krzyk" wyniosło do poziomu globalnej ikony rozpoznawalnej w każdym zakątku świata.

Wszyscy rozpoznają ten obraz, bo wszyscy wiedzą, co czuje osoba na nim pokazana. Boi się każdy. To atawizm, którego nie da się uniknąć. Bardziej chodzi o to, co się z nami dzieje, gdy lęk odczuwamy.

Właśnie o tym jest książka napisana przez lekarza psychiatrę. Joanna Adamiak – na podstawie doświadczeń z własnej praktyki – opisuje stany lękowe i opisuje, jak sobie z nim radzić. Opisuje różne przypadki – od lęków wrodzonych, przez wywoływane stylem życia, trybem pracy czy używkami. Konsekwencje tłumaczy, jak się z nimi uporać. I przypomina o uniwersalnej prawdzie: na lęk należy zawsze patrzeć z dystansu.

Joanna Adamiak „To tylko lęk. Jak przerwać błędne koło niepokoju i zacząć żyć spokojniej", wyd, Mando, Kraków 2026, cena 49,90 zł

Geopolityczne znaczenie Arktyki

Nie brak opinii, że kolejna wojna wybuchnie o Artykę. Ta książka opisuje wszystkie geopolityczne napięcia wokół bieguna północnego.

Kenneth R. Rosen „Wojna o Arktykę. Rywalizacja mocarstw o biegun północny", wyd. Prześwity, Warszawa 2026, cena 69,90 zł

Jak wikingowie rządzili na morzach i rzekach

Nowa historia wikingów – tym razem napisana przez archeolożkę i opierająca się na ustaleniach wynikających z jej warsztatu pracy. Dużo o morzach – ale też rzekach.

Cat Jarman „Władcy rzek. Nowa historia wikingów", wyd. Znak, Kraków 2026, cena 89,99 zł

Nykury, dragemy, stalle, glosony i inne bestie

Kolejny tom z cyklu „Bestiariuszy". Tym razem poznajemy bestie nordyckie. Dużo postaci wywodzących się z natury, dużo olbrzymów – ale są też skrzaty, trolle i skrzaty.

Natalia Mazur-Rodak „Bestiariusz nordycki", wyd. Bosz, Olecko 2026, cena 59,90 zł

Co właściwie mogła kobieta tuż po wojnie

Dziennik Włoszki, prowadzony tuż po wojnie. Świetnie napisany zapis relacji społecznych tej epoki. A także wnikliwy obraz pozycji kobiet w ówczesnym społeczeństwie.

Alba de Cespedes „Zakazany dziennik Valerii C.", wyd. W.A.B., Warszawa 2026, cena 54,99 zł

Machulski o tym, jak debiutował w „Kobrze"

Zebrana w jednym tomie wszystkie dramaty autorstwa Juliusza Machulskiego. Okazało się, że swój pierwszy tekst reżyser napisał, gdy miał 18 lat. Poszedł jako „Kobra".

Juliusz Machulski „19 południk i inne sztuki", wyd. Sonia Draga, Katowice 2026, cena 79,90 zł

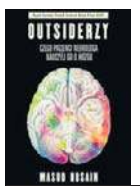

Mózg pokazany od wewnątrz

Znany neurolog opowiada o tym, jak sam widzi mózg. Dzieli się doświadczeniami z pracy z pacjentami. I tłumaczy pułapki ludzkiej głowy.

Masud Husain „Outsiderzy. Czego pacjenci neurologa nauczyli go o mózgu", wyd. Znak, Kraków 2026, cena 59,99 zł

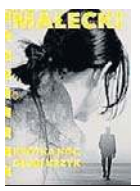

W Polsce jak na Dzikim Zachodzie

Toruń, lata 90. Miastem rządzą mafie, w powietrzu klimat przemocy, a policja zachowuje się jak brudny Harry. Taki klimat dominuje w najnowszej książce Małeckiego.

Robert Małecki „Krótka noc, długi krzyk", Wydawnictwo Literackie, Kraków 2026, cena 49,90 zł

Życie intymne pewnej kamienicy

Historia trzech kobiet, różnych, ale połączonych mieszkaniem w jednym budynku. Autor snuje opowieść z filozoficzną, ale też głęboko intymną głębią. Zagląda w głąb ludzkiej natury.

Wit Szostak „Suche strugi", wyd. Powergraph, Warszawa 2026, cena 69 zł

Polowanie na amatorskich fotografów

III Rzesza widziana przez pryzmat amatorskich zdjęć. Przed procesami norymberskimi przypadkowi fotografowie stają się ważnymi świadkami. Rusza polowanie.

Denis Rodier „Trzecia kamera", wyd, Egmont, Warszawa 2026, cena 99,99 zł

Ukraińskie „Twin Peaks"

Ukraiński thriller (napisany jeszcze w 2020 r.) o sennym miasteczku, gdzie w tajemniczy sposób znika dziewczynka. Śledztwo prowadzi psycholog policyjny. Robi się gęsto.

Illarion Pavliuk „Widzę, że interesuje cię ciemność", wyd. Insignis, Kraków 2026, cena 59,99 zł

Co się stało z naszą klasą

Zjazd absolwentów prestiżowego liceum 21 lat po ukończeniu szkoły. Nietypowy, bo nauka zakończyła tragiczną śmiercią jednego z uczniów. Nagle wydarzenia powracają.

Elly Griffiths „Skwer krwawiącego serca", wyd. Albatros, Warszawa 2026, cena 49,90 zł

Po pierwsze: widz musi być zadowolony

Drugi tom cyklu „Dungeon Crawler Carl", który stanowi skrzyżowanie gry komputerowej i rozgrywek w stylu „Igrzyska śmierci". Carl i Pączuś muszą zadowolić widzów.

Matthew Dinniman „Sądny dzień Carla", wyd. Czarna Owca, Warszawa 2026, cena 59,99 zł

Nagle dzieci na księżycu zaczynają się nudzić

Nowa seria autora prześmiesznego cyklu „Szkoła szpiegów". Gibbs zabiera młodzież w kosmos. Jest jeszcze szybciej i jeszcze śmieszniej.

Stuart Gibbs „Śledztwo w kosmosie. Baza Księżycowa Alfa", wyd. Agora, Warszawa 2026, cena 44,99 zł

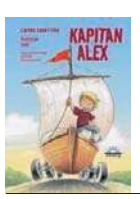

Gdy poczujesz zew morza

Bajkowy świat Grajdołków, z których najbliżej jest do morza. Mieszkańcy dwóch miejscowości rywalizują na to, kto zbuduje lepszy statek.

Carles Sala i Vila „Kapitan Alex", wyd. Widnokrąg, Piaseczno 2026, cena 46 zł

Detektyw kot na tropie zaginionego kanarka

Ciekawie opracowany graficznie kryminał dla dzieciaków. Panna Kot prowadzi śledztwo w sprawie zaginionego kanarka. Co może pójść nie tak?

Jean-Luc Fromental „Panna Kot. Sprawa kanarka", wyd. Druganoga, Warszawa 2026, cena 44,90 zł

Jak ożywić słynny tajemniczy ogród

Komiksowa adaptacja klasycznej powieści dziecięcej autorstwa 39-letniej francuskiej autorki. Dzięki kresce Begon tajemniczy ogród ożywa.

Maud Begon „Tajemniczy ogród", wyd. Egmont, Warszawa 2026, cena 129,99 zł

eprasa.pl facf02ca37

PLEBISCYT

Kelner jest wizytówką - 50 procent sukcesu lokalu to dobra obsługa

(ka)

Jest frontmanem, który wita gości, rozmawia z nimi i nawiązuje kontakt, który nierzadko trwa kilka godzin. Często towarzyszy podczas ważnych uroczystości.

Prezes Stowarzyszenia Kelnerów Polskich, które jest partnerem plebiscytu Mistrzowie Smaku 2026, Michał Chabior, w rozmowie z nami zaznaczał, że 50 procent sukcesu restauracji to kuchnia - kucharze, smak potraw i sposób ich podania, a pozostałe 50 procent to obsługa, czyli właśnie kelnerzy. Podkreślał, że kelner jest swoistą wizytówką lokalu. Frontmanem, który wita gości, rozmawia z nimi i nawiązuje z nimi wyjątkową relację nawet na kilka godzin. Często towarzyszy im także podczas ważnych uroczystości. Ten kontakt jest zupełnie inny niż pomiędzy klientem a na przykład obsługą sklepu, z którą kontakt trwa zaledwie kilka minut.

Choć jego praca nie zawsze jest widoczna, ma ogromny wpływ na to, jak zapamiętamy wizytę w restauracji. To przecież kelner wita gości, doradza przy wyborze dań, dba o komfort podczas posiłku i często żegna ich z uśmiechem, który sprawia, że chce się wrócić. Za profesjonalną obsługą kryją się nie tylko wiedza i doświadczenie, ale także uważność, empatia i umiejętność odnalezienia się w każdej sytuacji. Każdego dnia spotyka ludzi o różnych oczekiwaniach i nastrojach, dlatego równie ważne jak znajomość menu są kultura osobista, życzliwość i umiejętność budowania relacji.

W kolejnym tygodniu głosowania w plebiscycie Mistrzowie Smaku 2026 chcemy docenić także te osoby, które każdego dnia udowadniają, że profesjonalna obsługa to coś znacznie więcej niż podanie posiłku. - To ludzie, dzięki którym goście czują się mile widziani, a restauracje zyskują wiernych bywalców, dlatego poznajmy dziś bliżej kandydatów do tytułu Kelnera Roku - mówi Katarzyna Adamczyk, która opiekuje się akcją Mistrzowie Smaku od strony redakcyjnej.

KELNER ROKU

Największą wartością w pracy kelnera są dla niego relacje z ludźmi i atmosfera, jaką udaje się stworzyć podczas każdej wizyty gości. Adrian Szczepanik (Hotel Wilczy Sen, Ciechanów) wierzy, że dobra obsługa to nie tylko sprawne serwowanie potraw, ale także życzliwość, uśmiech i indywidualne podejście do każdego klienta. Chce, aby każdy opuszczał restaurację z poczuciem, że został serdecznie przyjęty i z chęcią wrócił ponownie. Szczególnie zapadł mu w pamięć mały chłopiec, który regularnie odwiedza restaurację z rodzicami. Jego uprzejmość, uśmiech i krótkie rozmowy z obsługą sprawiają, że każda wizyta wnosi do lokalu mnóstwo pozytywnej energii. - To właśnie takie spotkania przypominają mi, że praca w gastronomii to nie tylko serwowanie jedzenia, ale przede wszystkim budowanie relacji z ludźmi - podkreśla Adrian Szczepanik. Największą nagrodą pozostaje dla niego zadowolenie gości i świadomość, że czuli się komfortowo podczas pobytu. Nominację do plebiscytu Mistrzowie Smaku 2026 przyjął z ogromną radością. - To dla mnie wielkie wyróżnienie i motywacja do dalszego rozwoju. Cieszę się, że goście doceniają moją pracę, zaangażowanie i pasję, którą każdego dnia wkładam w to, co robię - dodaje.

KELNER ROKU

Praca kelnera to dla niej przede wszystkim spotkania z ludźmi i możliwość tworzenia miejsca, do którego goście chętnie wracają. Julia Tysiak (Herbaciarnia Faktoria Flow, Szydłowiec) ceni dynamiczne środowisko pracy, współpracę z zespołem oraz codzienne rozmowy z klientami, które często wykraczają poza zwykłą obsługę. - Największą satysfakcję w pracy kelnera daje mi kontakt z ludźmi i świadomość, że mogę sprawić, aby goście miło spędzili czas - mówi. Wierzy, że życzliwość i uważność potrafią sprawić, że nawet krótka wizyta pozostanie miłym wspomnieniem. Szczególnie zapadł jej w pamięć gość, który regularnie odwiedzał lokal i siadał przy barze, by zamienić kilka słów. Z czasem zwykłe rozmowy przerodziły się w dobrą znajomość, pokazując, jak ważne w tej pracy są relacje z ludźmi. - To spotkanie było dla mnie wyjątkowe, ponieważ pokazało, że praca kelnera to nie tylko obsługa gości, ale także budowanie relacji - podkreśla Julia Tysiak. Każdego dnia stara się, aby klienci czuli się zaopiekowani i opuszczali lokal z uśmiechem. - Byłam zaskoczona, ale bardzo miło mi się zrobiło, gdy zauważyłam, że ktoś docenił moją pracę i zaangażowanie - mówi o nominacji do tytułu.

MISTRZOWIE SMAKU 2026

LIDERZY POSZCZEGÓLNYCH KATEGORII PLEBISCYTU

Więcej na:

polskanews.pl/mistrzowie-smaku

BAR/BISTRO/JADŁODAJNIA ROKU
1. **U Ciotki w garach,** Mińsk Mazowiecki, Sosnkowskiego 12/U1
2. **Cepeliada Bistro,** Radom, Focha 12
3. **Wok This Way,** Legionowo, Jana III Sobieskiego 6

KAWIARNIA/CUKIERNIA ROKU
1. **Bezu 4 U,** Legionowo, Słowackiego 37
2. **Cukiernia Ciacho,** Radom, Traugutta 9
3. **Kocia kawiarnia,** Legionowo, Batorego 10

KELNER ROKU
1. **Damian Gołębiowski,** Restauracja & Hotel Złoty Lin, Wierzbica
2. **Marcin Kondraszewski,** Hotel Mazurkas, Ożarów Mazowiecki
3. **Julia Stępniewska-Guz,** Izumi Sushi, Warszawa

KUCHARZ ROKU
1. **Piotr Dawidowski,** Sala Weselna Jurkowscy, Kosów Lacki
2. **Bartłomiej Czapski,** Pańska 85, Warszawa
3. **Ettore De Giorgio,** Piccantino Pasta & Pizza, Płock

LODY ROKU
1. **Lodziarnia Cudolód,** Warszawa, Międzyborska 8A
2. **StacjaTrafo,** Warszawa, Kaniowska 136
3. **Lodziarnia KANKA,** Płońsk, Grunwaldzka 8/10

PIZZA ROKU
1. **Pizzeria Pilizza,** Nowe Miasto nad Pilicą, Warszawska 51
2. **Antresola Pizza&Bar,** Warszawa, Bakalarska 15
3. **Twe Gusta,** Ciechanów, Gwardii Ludowej Wrn 15

RESTAURACJA ROKU
1. **Naleśnikarnia Arkadia i Promenada,** Warszawa, al. Jana Pawła II 82, ul. Ostrobramska 75c
2. **Dwór u Antoniego,** Orońsko, Krogulcza Sucha 49 B
3. **Fabbro Pizza,** Radom, Słowackiego 273B

BARMAN/BARISTA ROKU
1. **Jacek Szcześniak,** Warmut, Warszawa
2. **Paweł Wiktoruk,** The Garrison Mariensztat, Warszawa
3. **Adam Kozera,** Club Wesele, Warszawa

BURGER ROKU
1. **Sigma Burger,** Piaseczno, Nadarzyńska 60
2. **EasyBurger,** Jaktorów, Warszawska 19
3. **Garage Burger,** Warszawa, Hoża 51

KEBAB ROKU
1. **Palmera Kebab,** Pułtusk, Rynek 30
2. **Kebab Mieszany-Mieszany,** Warszawa, Rembielińska 18
3. **Bafra Kebab,** Szydłowiec, Kościuszki 213A

MENEDŻER GASTRONOMII ROKU
1. **Izabela Molak,** Dworek i Patio na Wodoktach, Otwock Wielki
2. **Agnieszka Stan,** Yatta Ramen, Radom
3. **Damian Nalachef,** Naleśnikarnia Arkadia i Promenada, Warszawa

MISTRZ SŁODKOŚCI ROKU
1. **Sebastian Waloszczyk,** Sala Rembertów, Rembertów
2. **Adam Komoda,** Mund, Warszawa
3. **Dagmara Woźniak,** Dagmara Woźniak Przystanek Czekolada, Parznice

eprasa.pl facf02ca37

AFERA W SZPITALU

NIK bez litości dla szefów Szpitala Południowego

Co wykazała kontrola NIK w Warszawskim Szpitalu Południowym? Raport Izby obrazuje skalę problemów. Lista nieprawidłowości wykazanych w czasie kontroli jest porażająca

Greta Sulik

Ponad 300 godzin pracy jednego lekarza w miesiącu, zbyt mała liczba personelu na dyżurach, wątpliwości dotyczące rozliczania świadczeń z NFZ i działalności komercyjnej. To tylko część ustaleń Najwyższej Izby Kontroli .

FOT. PAP

NIK skontrolowała Warszawski Szpital Południowy i wytknęła mnóstwo błędów

Najwyższa Izba Kontroli opublikowała w środę wyniki kontroli Warszawskiego Szpitala Południowego. Kontrola została wszczęta z inicjatywy własnej Izby we wrześniu 2025 roku i obejmowała to, co robił szpital w latach 2022–2025.

Raport potwierdził niedawno ujawnione problemy związane z organizacją pracy personelu, rozliczaniem świadczeń finansowanych przez Narodowy Fundusz Zdrowia oraz wykorzystaniem części pomieszczeń i infrastruktury szpitalnej. W efekcie NIK skierowała do placówki 11 wniosków pokontrolnych.

Jednym z najbardziej niepokojących ustaleń raportu jest sposób organizacji pracy personelu medycznego. Jak ustalili kontrolerzy, jeden z lekarzy przepracował w ciągu miesiąca 304 godziny i 30 minut, a jedna z pielęgniarek 249 godzin. Zdaniem NIK tak znaczne przeciążenie pracowników ma wpływ nie tylko na ich kondycję, ale też na bezpieczeństwo pacjentów.

– Znaczne wydłużenie czasu pracy świadczonej przez personel medyczny ma nie tylko negatywne skutki dla samego personelu, ale może mieć niekorzystny wpływ na jakość udzielanych świadczeń zdrowotnych, w tym na zdrowie lub życie pacjentów – czytamy w raporcie. Kontrolerzy ustalili również, że na oddziałach chirurgii ogólnej oraz chorób wewnętrznych podczas dyżurów pracowało mniej personelu, niż wcześniej deklarowano NFZ.

Dużo miejsca w raporcie poświęcono funkcjonowaniu Warszawskiego Centrum Chirurgii Kręgosłupa. Czyli miejscu, które media opisywały jako tzw. Salonik VIP, gdzie mieli być przyjmowani znajomi, rodzina i koledzy partyjni, oskarżonego o nieuczciwą pracę, lekarza-milionera.

Jak wskazuje NIK, choć centrum było szeroko reklamowane, formalnie nie istniało w strukturach organizacyjnych szpitala.

Kontrolerzy stwierdzili również, że nie zapewniono właściwego rozdzielenia świadczeń finansowanych przez NFZ od działalności komercyjnej. Jak wynika z raportu... personel, sprzęt i sale finansowane ze środków publicznych były wykorzystywane także do świadczeń odpłatnych, a grafiki lekarzy przewidywały pracę w tym samym czasie zarówno w ramach umowy z NFZ, jak i komercyjnie.

Zastrzeżenia dotyczyły także pomieszczeń przeznaczonych dla pacjentów centrum. Według NIK brakowało w nich podstawowego wyposażenia sanitarnego, między innymi umywalek, mydła i ręczników papierowych. Jednocześnie znajdowały się tam telewizor, meble oraz aneks kuchenny, a znaczna część powierzchni pozostawała niewykorzystana.

Kontrolerzy zwrócili uwagę również na funkcjonowanie Szpitalnego Oddziału Ratunkowego. Jak wynika z raportu, choć w ograniczonym zakresie, przez SOR odbywały się planowe przyjęcia do leczenia szpitalnego. Zdaniem NIK takie rozwiązanie mogło kolidować z podstawową rolą oddziału ratunkowego, który jest przeznaczony dla pacjentów w stanie nagłego zagrożenia życia lub zdrowia.

Kierownik SOR wyjaśniał, że planowi pacjenci byli przyjmowani wyłącznie wtedy, gdy nie oczekiwały osoby wymagające pilnej pomocy i nie wpływało to na kolejkę pacjentów.

Do wyników kontroli odniosła się minister zdrowia Jolanta Sobierańska-Grenda. W rozmowie z Radiem Zet podkreśliła, że z raportem powinny zapoznać się przede wszystkim nowe władze szpitala, rada nadzorcza oraz właściciel placówki. **PAP**

DROBNE

Nieruchomości

MIESZKANIA - KUPIĘ

INNE

Kupię mieszkanie zadłużone, z trudnym lokatorem, komornikiem, udziały. Gotówka, 883-402-202

Handlowe

MASZYNY URZĄDZENIA

KUPIMY maszyny do obróbki metalu i drewna. Tel.: 782-592-790.

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy, turnus 7dniowy od 1050zł. Ful opcja, cisza, spokój, natura, miodowyraj.pl 501642492.

PROMOCJA - pobyt - 95 zł ze śniadaniem. TYLICZ k/Krynicy G., pok. z łaz.+TV, bilard, parking, 730-007-166

KRAJ - MORZE

DANA - USTRONIE MORSKIE. Tanie wczasy. 601-585-510 www.danaustronie.pl

Zdrowie

ZABIEGI

BUSKO-ZDRÓJ, Pensjonat Sanato Pobyty lecznicze oraz wypoczynkowe w atrakcyjnych cenach. Zadzwoń już dziś: 41/378-19-48 www.sanato.com.pl

Różne

STARE książki skup, 881-934-948

Rolnicze

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%, K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.150 zł/tona, 500-669-621

WARSZAWA

Prezes spółdzielni „Imielin" zawieszony. Co z walącym się blokiem na Ursynowie?

Mateusz Łuba

Część mieszkańców bloku przy ul. Hirszfelda opuściła mieszkania, a wejście do klatki nr 2 zostało zaplombowane. Powiatowy Inspektorat Nadzoru Budowlanego uznał, że budynek grozi zawaleniem.

FOT. ALEKSY WITWICKI

Tak wyglądają spękania w bloku przy ulicy Hirszfelda

Jak poinformowało Radio RDC, prezes SMB „Imielin" Rafał Januszkiewicz został zawieszony w pełnieniu obowiązków. Powodem miały być nieprawidłowości związane z jego wyborem na stanowisko. Sprawa trafiła do sądu. Informację przekazał Aleksander Miszczenko, który przejął obowiązki Januszkiewicza, w tym nadzór nad walącym się blokiem przy ul. Hirszefelda.

Blok przy ul. Hirszfelda powstał w latach 80. W ostatnim czasie zrozpaczeni mieszkańcy zwracali się do mediów pokazując swoją niepewną codzienność. Ściany w budynku odsunęły się od podłóg, powstały szczeliny, w które bez trudu można włożyć dłoń, a na korytarzach ustawiono kilkadziesiąt belek podporowych.

Problem nie jest nowy. Pierwsze oznaki uszkodzeń pojawiły się kilkanaście lat temu, jednak w ciągu ostatnich trzech lat sytuacja wyraźnie się pogorszyła, a sprawa – zdaniem mieszkańców – była bagatelizowana. Najgorsza sytuacja panuje na trzecim piętrze, gdzie odczuwalne jest przechylenie budynku. W marcu Powiatowy Inspektorat Nadzoru Budowlanego nakazał spółdzielni „Imielin" przeprowadzenie remontu w ciągu 12 miesięcy. Termin wykonania prac upływa wiosną przyszłego roku.

W piątek, 26 czerwca, inspektorzy ponownie skontrolowali stan budynku. Tego dnia PINB ustnie poinformował zarząd spółdzielni o nakazie opróżnienia budynku. Wtedy też odcięto dopływ gazu.

eprasa.pl facf02ca37

PIŁKA NOŻNA

Hiszpania-Argentyna. Przed nami finał marzeń

Hiszpania jako pretendent czy Argentyna drugi raz z rzędu? W niedzielę przekonamy się, kto zostanie mistrzem świata. To finał marzeń, bo zagrają w nim rzeczywiście dwie najlepsze drużyny

Jacek Czaplewski

FOT. PAP/EPA

Tak cieszył się Messi po wygranej z Anglią. Kto okaże się mocniejszy w finale – Argentyna czy Hiszpania?

– Jesteśmy wyjątkowi i to nie jest arogancja – przekonywał po zwycięskim półfinale selekcjoner Lionel Scaloni. Jego Argentyna kolejny raz na mundialu w spektakularnym stylu odwróciła wynik. Zanim do tego doszło, byliśmy świadkami walki wręcz. W pierwszej połowie żadna z drużyn nie chciała grać w piłkę. Sędzia co chwilę musiał sięgać po gwizdek, by odgwizdać kolejne, nierzadko brutalne faule. Wiele z nich nadawało się na kartkę, a jednak pierwszą z tylko czterech pokazanych w całym meczu obejrzeliśmy dopiero w 37 minucie. Atmosfera była gęsta jak w derbach. Argentyńczycy walczyli jakby na śmierć i życie. Hymnu nie śpiewali – oni go wykrzyczeli. Nad emocjami zdołała najpierw zapanować Anglia. Prowadzenie objęła w 55 minucie po golu Anthony'ego Gordona. Zaraz potem selekcjoner Thomas Tuchel postanowił cofnąć całą drużynę, posyłając na boisko kolejnych obrońców. Nietrafiona taktyka przyniosła opłakane skutki. Argentyna poczuła krew i sprawę awansu załatwiła jeszcze w regulaminowym czasie. Enzo Fernandezowi i Lautaro Martinezowi, który przeskoczył o głowę wyższego Dana Burna, asystował nie kto inny jak Leo Messi prowokowany wcześniej przez Jude'a Bellinghama.

Gdy wybrzmiał ostatni gwizdek, lider mistrzów świata padł na murawę i cieszył się, jakby ten mecz decydował już o obronie tytułu. – Ta drużyna nigdy nie przestaje walczyć – mówił kapitan, dedykując zwycięstwo kibicom, którzy nieśli ją dopingiem zwłaszcza w trudnych chwilach.

Przed nami niezwykły finał. Hiszpania z Argentyną miały już zagrać ze sobą w marcu w Katarze w meczu pod nazwą Finalissima organizowanym nieregularnie pomiędzy mistrzem Europy a mistrzem Ameryki Południowej. Gra nie doszła do skutku z powodu wojny na Bliskim Wschodzie. Teraz główny pretendent zmierzy się z obrońcą w wielkim finale mundialu na MetLife Stadium w East Rutherford w stanie New Jersey. Bukmacherzy w roli faworyta upatrują Hiszpanii, która zmiotła Francję. Ostatnie bezpośrednie spotkanie odbyło się osiem lat temu w Madrycie – towarzysko. Pod nieobecność Messiego padł sensacyjny wynik 6:1.

Czeka nas mecz dwóch najlepszych reprezentacji, ale i dwóch wspaniałych gwiazd – tej wschodzącej i tej odchodzącej – czyli nastoletniego Lamine'a Yamala i odliczającego dni do czterdziestki Leo Messiego. Obu wychowała FC Barcelona, w której nie mieli okazji nigdy razem wystąpić. Wiąże ich za to inna niewiarygodna wręcz historia. W grudniu 2007 roku na Camp Nou wzięli udział we wspólnej... sesji na potrzeby kalendarza charytatywnego, którą rodzina Yamala wygrała w loterii. Tak powstały zdjęcia urastające dzisiaj do rangi wręcz ikonicznych. Messi trzyma na nich Yamala na rękach, kąpie go w wanience, posyła uśmiechy. Teraz obaj staną naprzeciw siebie na murawie – pierwszy i zapewne ostatni raz, w meczu o Puchar Świata.

Niedzielny finał rozpocznie się o godzinie 21. Transmisje obejrzymy równocześnie w TVP 1 i TVP Sport. Czeka nas kilka godzin piłki, ale i rozrywki na najwyższym poziomie. FIFA zaplanowała widowisko, jakiego jeszcze nie było. Przerwa między połowami potrwa nie 15, lecz 30 minut, jak w amerykańskim SuperBowl. Wystąpi plejada gwiazd: od Madonny i Shakiry, przez Robbiego Williamsa i Toma Cruise'a, aż po Justina Biebera czy influencera iShowSpeeda. Na decydujący mecz kosztem czwartkowego Superpucharu Polski wybrał się prezes PZPN Cezary Kulesza. Trofeum razem z Giannim Infantino wręczy prezydent Stanów Zjednoczonych Donald Trump.

Wcześniej, czyli w sobotę poznamy brązowego medalistę. Mecz pocieszenia między Francją a Anglią rozpocznie się dopiero o godzinie 23.00 czasu polskiego. ©℗

PIŁKA NOŻNA

Argentyński mistrz świata specjalnie dla nas: - Mają charakter mistrzów

Jaromir Kruk

W 1986 roku Pedro Pasculli zdobył z Argentyną mistrzostwo świata. Przyjaciel Diego Maradony, tak jak on wychowanek Argentinos Juniors, w pamiętnym turnieju w Meksyku zdobył zwycięskiego gola dla Albicelestes w spotkaniu 1/8 finału z Urugwajem (1:0).

Miał pan obawy przed półfinałem z Anglią?

Pedro Pasculli: Dla Argentyńczyka to nie jest zwykły mecz i wiedziałem, że każdy z naszych zawodników się spręży, nikogo nie trzeba mobilizować. Zawsze gdzieś w tle będą Falklandy-Malwiny, kwestie historyczne, mecz z 1986 roku, kiedy Diego Maradona strzelił dwa gole - jednego ręką, drugiego po cudownej akcji. Po tamtym spotkaniu graliśmy rzadko z Anglikami, w 1998 roku wyeliminowaliśmy ich po karnych, a ludzie zapamiętali spięcie Davida Beckhama z Diego Simeone. Dla Leo Messiego to było pierwsze starcie z Anglią, a jak już jesteś w półfinale, to myślisz, żeby się przebić do finału. Gdy w Atlancie przegrywaliśmy, wierzyłem, chyba jak każdy mój rodak, że odwrócimy losy spotkania, i tak się stało. Lionel Scaloni podejmował świetne decyzje, zaskoczył z wystawieniem Giuliano Simeone od początku, syn Diego zagrał wspaniale, a potem wyszły mu super zmiany.

Dlaczego Argentyna tak męczyła się w tym turnieju?

W takiej imprezie nic łatwo nie przychodzi, każdy wychodzi na boisko, by wygrać. Wszyscy rywale chcieli pokonać mistrza świata, to naturalne, a my mieliśmy słabsze momenty. Drużyna Scaloniego nauczyła się wychodzić z tarapatów, przypominała nasz zespół z 1986 roku. Argentynę inni często krytykują, ale tym nas mobilizują. Nie ma się czym przejmować, skoro dużo o nas mówią, czepiają się, to znaczy, że jesteśmy dobrzy. Na każdy turniej przyjeżdżamy po zwycięstwo, ze Scalonim w roli trenera wygraliśmy mundial 2022, w kolejnym dotarliśmy już do finału, dwukrotnie triumfowaliśmy w Copa America, wygraliśmy Finalissima. To nie jest przypadek, prócz umiejętności Argentyna ma charakter mistrzów, a za naszą reprezentacją stoją wspaniali kibice.

Kto jest faworytem niedzielnego finału?

Mówiłem przed mistrzostwami, że Hiszpania ma wspaniały zespół i jest głównym faworytem. Z Francją nie pozwoliła na nic Kylianowi Mbappe i jego kolegom. W obronie gra znakomicie, ma świetną pomoc, niesamowicie skutecznego Oyarzabala. To jest finał i każdy z jego uczestników, nawet jak nie ma sił, może je znaleźć. Spotkanie Hiszpanii z Argentyną może być wspaniałą reklamą piłki nożnej. Nie doszło do naszej konfrontacji w tegorocznej edycji Finalissima, bo ze względów politycznych marcowy mecz w Katarze został odwołany. Teraz stawka będzie znacznie większa, ale jestem optymistycznie nastawiony.

Często pana pytają o Diego Maradonę, którego był pan przyjacielem?

Lata lecą, ale legenda Diego nie przemija. Trochę czasu z nim spędziłem i bardzo mi go brakuje. To był dobry człowiek, który wielu pomógł, a jego oddania barwom narodowym nie zapomniał w Argentynie nikt. Legenda Diego będzie wiecznie żywa.

Jak pan ocenia mundial z udziałem 48 zespołów?

Są plusy i minusy. Ogólnie nie podoba mi się, że wokół tego turnieju jest za dużo polityki, powinna liczyć się tylko piłka. Szkoda, że zabrakło reprezentacji Polski, bo macie wielu dobrych zawodników i piękną historię. Nie zapomnę, jak zostaliśmy wspaniale przyjęci u was w marcu w Daleszycach, Cierchach, Kielcach, Zagnańsku i Ropczycach. Polacy to wspaniali ludzie, kochacie piłkę nożną i zasługujecie na to, by mieć reprezentację na mundialu. Wiem, że w waszym kraju wielu kibiców ma Argentyna.

eprasa.pl facf02ca37

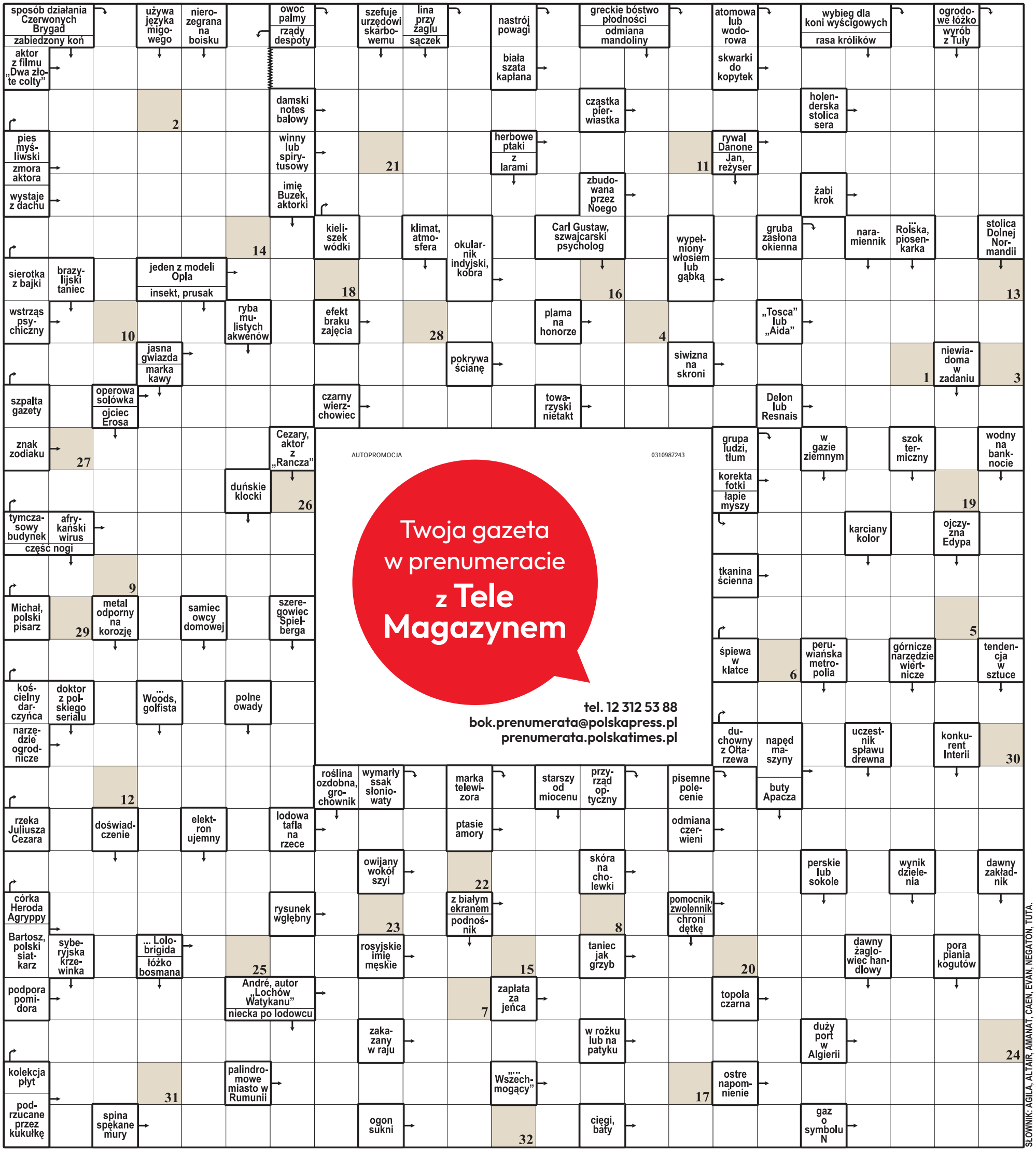

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 32, utworzą rozwiązanie: aforyzm Józefa Bułatowicza.

ROZWIĄZANIE: NIEJEDEN SZYBCIEJ NISZCZY NIŻ BUDUJE.

eprasa.pl facf02ca37